

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 5

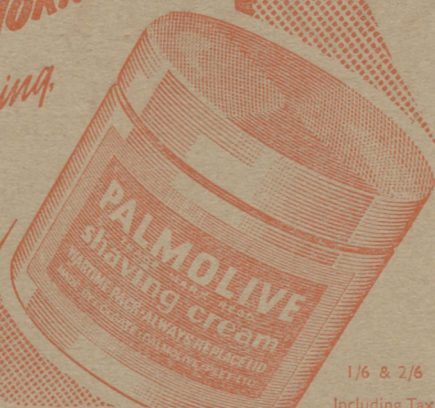
JÓZEF WITTLIN
BOLESŁAW BRZozowski
MAREK CELT
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI
BOGUSŁAW KUCZYŃSKI
DOROTA FALSKA
STEFAN ŁĘCZYC
STANISŁAW ILEWICZ
MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI
LUCJAN BLIT
JÓZEFA RADZYMIŃSKA

LONDYN

M A J

1945

*Tons of Bristles
DISPATCHED EACH MORNING
by the Softening, Smoothing,
Soothing Lather of*



1/6 & 2/6
Including Tax

Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

KOSTIUMY skrojone przez **VANEK'A**

noszą na sobie cechę mistrzowskiego
ujęcia specjalisty kontynentalnego.
Świetnie skrojone i uszyte wyłącznie
z najlepszych materiałów.

4, WILLIAM STREET

Knightsbridge

London,

S. W. 1.,

również w BOURNEMOUTH

AN OCEANINSKY

WYBOR
POEZJI

ZAWIADAMIAMY

O
CAŁKOWITYM
WYCZERPANIU

OBU

KSIĄŻEK

I
PRZYGOTOWY-
WANIU NOWEGO
NAKLADU
A. SŁONIMSKIEGO

KLUCZE



MARJA KLUCZEWICZOWA

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.

59 Knightsbridge, London S.W.1

Tel. 1 SLOane 3626

Wykonuje NOWE FUTFA i przeróbki z
własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25%-towa zniżka
cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM IV

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 5

LONDYN

M A J

1945

JÓZEF WITTLIN

POCHWAŁA FIKCJI POETYCKIEJ

Stary człowiek, który od kilku lat przywozi mi do domu (w Riverdale, New York) mój powszedni chleb, urodził się na Sycylii. Jest to człowiek pełen wdzięku. Mówi czystą, żadnym dialektem nie skażoną włoszczyzną — i wie o tym. Ze skromną satysfakcją poprawia moje błędy w swym ojczystym języku. Przy różnych sposobnościach wytrząsa z rękawa przysłowia i maksymy, z których niejedna pamięta jeszcze czasy, gdy po Sycylii błakali się greccy bogowie. Jakkolwiek wiele lat życia spędził w Ameryce na wypiekaniu, czy rozwożeniu chleba, świadom on jest tego, że nie samym chlebem człowiek żyje. Świadczy o tym chociażby jego zainteresowanie moją pracą. Pewnego razu zapytał mnie, czy znam „Boską Komedie”. A gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, zadał mi pytanie, na które nie tylko we włoskim języku trudno mi odpowiedzieć: „Co pan myśli, czy Dante naprawdę był w piekle?” Myślę, że tym kłopotliwym pytaniem dotknął on samej istoty poetyckiego zmyślenia, bez względu na to, czy zostało nam ono narzucone w tercynach, w heksametrach, czy w prozie. O cóż mu chodziło, gdy akcentował słowo: n a p r a w d ę ? Zapewne uległ on przy czytaniu „Inferna” tak silnej sugestii, iż trudno mu uwierzyć, aby ktoś, kto własnymi nogami nie chodził po piekle i własnymi oczyma nie oglądał jego okropności, mógł tak szczegółowo opisać wygląd piekła, jego strukturę, urządzenia i mieszkańców.

Jeszcze parę lat temu, a w każdym razie przed obecną wojną, może byłoby mi łatwiej znaleźć zadawalającą odpowiedź dla mego Sycylijczyka. Może zaryzykowałbym twierdzenie, że żaden człowiek za życia w piekle nie był, piekło bowiem jest dostępne tylko ludzkim duszom, a nie — nogom. Kto wie, czy zainteresowawszy mego piekarza tym tematem, nie musiałbym mu tłumaczyć, że piekło jest bardzo starym wynalazkiem mistycznych wizjonerów i mistycznych moralistów, i to — u wszystkich niemal narodów starożytności. Przeszło ono następnie do systematu eschatologicznych wierzeń średniowiecza, których poetyckim ukoronowaniem jest właśnie „Boska Komedie”. I że, we wszystkich obrazach piekła, jakie znamy z literatury i sztuk plastycznych — jest ono przedstawione jako coś gorszego od ziemi, jako miejsce wieczystej kary dla tych, co tu, na ziemi, srodze grzeszyli, a Sąd niebieski uznał ich za niegodnych

Czyśca. Musiałbym też nadmienić, że Dante, opierając się na niektórych starożytnych i średniowiecznych wizjach, stworzył własne piekło, zaludnił je według własnego upodobania, a opisał je tak plastycznie, iż potrafił wywołać wrażenie jakoby tam n a p r a w d ę był.

A zatem jest to gra umówiona między nim a nami. Zawsze dajemy poetom pewien kredyt na to, aby rzeczy zmyślane opowiadali w tonie rzeczywistych wydarzeń. Możebym jeszcze Sycyliczykowi napomknął coś niecoś o halucynacjach, o stanach psychicznych na pograniczu snu i jawy, z całym uszanowaniem dla jego wiary we wszystko, co mu kościół katolicki nakazuje wierzyć.

W szóstym wszakże roku tej wojny, musiałbym gruntownie zrewidować swój pogląd na to, co jest piekłem i gdzie ono się znajduje. Piekło dantejskie, jak wiadomo, znajduje się głęboko pod ziemią, zamaskowaną ową „selva oscura”, mimo to wszystkie jego okropności wydają się sielanką, co prawda koszmarną, w porównaniu z tym, co obecnie dzieje się na powierzchni ziemi, mówiąc ściślej: — na powierzchni mojej ziemi rodzinnej. Do swego Inferna dostał się Dante wyjątkowo i dzięki wysokiej protekcji Wirgiliusza. Bawił tam zresztą niedługo, po czym zwiędził jeszcze Czyściec i Niebo.

Do współczesnego piekła na ziemi nie trzeba żadnej protekcji. Kilku milionów ludzi, niekoniecznie obdarzonych talentem poetyckim, pochłonęło już to piekło na zawsze, a zaledwie paru szczęśliwym wyjątkom udało się z niego uciec. Znam osobiście człowieka, który był w piekle. A co tam widział, opisał z talentem w książce p.t. „Story of a Secret State”. Nazywa się ten człowiek: Jan Karski. Był oficerem polskiej armii i pełnił służbę kuriera w polskim ruchu podziemnym w latach 1939-1942. Przewodnikiem zaś jego po jednym z wielu kręgów piekła na polskiej ziemi, t.zn. po jednym z t.zw. obozów śmierci, za niemieckiej okupacji, nie był żaden poeta starożytny, tylko nowoczesny a przekupiony milicjant estoński, należący do ekipy wartowników tego obozu. Dzięki niemu, Karski, również przebrany w mundur estońskiego milicjanta, mógł być naocznym świadkiem t.zw. eksterminacji kilku tysięcy Żydów polskich. Był świadkiem w tym sensie, w jakim grecki wyraz: m a r t y r o s znaczy: świadek. Widział na własne oczy, jak nieliczni ludzie uzbrojeni ładowali tysiące ludzi bezbronnych, nagich, zgłodniałych i oszalałych do wagonów kolejowych, gdzie ci ludzie: mężczyźni, kobiety i dzieci, ginęli, dusząc się jak muchy. Świadek tych „dantejskich” scen nie spotkał w piekle ani diabłów, ani demonów, ani strąconych aniołów. Czynności dręczycielskie wykonywali tam sami ludzie, jak się rzekło — uzbrojeni. Bez żadnej furii, lecz z zimną krwią, spokojnie, fachowo, jak mechanicy, ludzie ci znęcali się nad ludźmi nagimi i bezbronnymi. Po 120 zaganiali ich do wagonów, mogących normalnie pomieścić najwyżej 50 ludzkich ciał, a gdy ciała układały się na podobieństwo śledzi w beczce, ludzie uzbrojeni zalewali pełne wagony — gorącym wapnem. Niewątpliwie ludzie nadzy i bezbronni byli potępieni jak mieszkańcy dantejskiego Inferna. Ale potępił ich i skazał na długie konanie w męczarniach nie Bóg, lecz pewien człowiek, którego naukę głosi więcej niż czterech ewangelistów i więcej niż dwunastu apostołów.

Książka Karskiego, w której o tym czytamy, nie jest wytworem ani jego wyobraźni, ani wyobraźni innych ludzi. Jest ona klasycznym zaprzeczeniem tego, co w krajach anglosaskich nazywa się „fiction”. Nie jest też sprawozdaniem obojętnego i żelaznym listem opatrzonego, turysty po piekle. Znajdujemy w niej bowiem opisy tortur, które sam autor wycierpiał na własnym ciele i na własnej duszy. Przeżył on więc n a p r a w d ę wszystkie okropności, które opisał, naprawdę, w tym znaczeniu, które zapewne miał na myśli mój sycylijski piekarz.

* * *

Takich książek, choć może z mniejszym napisanych talentem, mamy dziś bardzo wiele. Należą one do gatunku literackiego, zwanego reportażem. Gatunek ten osiągnął w ostatnich latach szczyty doskonałości, zarówno dzięki odpowiedniemu trenningowi specjalistów, rozporządzających ulepszonymi metodami obserwacji, jak i dzięki niezmiernemu dziś bogactwu nieprawdopodobnych a jednak prawdziwych wydarzeń, przekraczających niekiedy granice ludzkiej wyobraźni. Spośród rozlicznych typów współczesnych reporterów, wybijają się reporterzy zawodowi i przypadkowi. Pierwsi — to poszukiwacze dramatycznych sytuacji w świecie „zewnętrznym”. Z premedytacją polują oni na niebezpieczeństwa, w celu dokładnego opisania ich. Pchają się tam, gdzie najbardziej gorąco, włączają do tanków, pływają w łodziach podwodnych, uczestniczą w nalotach bombowców. Niejeden z tych śmiałków, przypłacił własnym życiem pasję chwytania „życia” na gorącym uczynku. Ale czasy obecne sprzyjają również reporterom z przypadku. Są to ludzie, którzy nawet wbrew woli, stali się uczestnikami, a często i bohaterami dramatycznych wydarzeń.

Istnieją jednakże takie dzieła jak n.p. „Le mie prigioni” Silvia Pellico lub „Zapiski z martwego domu” Dostojewskiego. Obie te książki zawdzięczają swe powstanie temu, iż zarówno znany skądinąd poeta dramatyczny Pellico jak i Dostojewski, zostali w podobnych okolicznościach skazani na śmierć, a po ułaskawieniu spędzili długie lata w więzieniu, czy też na katordze. Trudno obie te książki nazwać reportażami i trudno zaliczyć je do literatury czysto pamiętnikarskiej. Zwłaszcza w „Zapiskach z martwego domu” niełatwo jest ustalić ile w nich „poezji”, a ile „prawdy”. (Obie te książki napisane zostały w epoce, kiedy poezja była ostro przeciwstawiana „autentyczności”.) U Dostojewskiego widać wyraźnie, jak autor dał się ponieść przyrodzonym skłonnościom poety, czy beletrysty, który akcję książki organizuje tak, iż niekiedy deformuje t.zw. prawdę życiową i t.zw. rzetelność. Skłonności poetyckie każały Dostojewskiemu szukać autentyzmu raczej w duszach ludzi, z którymi razem był na katordze, zamiast tę katorgę fotografować. Nie zrezygnował on też w „Zapiskach” z naczelnego prawa powieści pisarza, które określiłbym jako prawo transfiguracji.

Zdawałoby się, że rozwój reportażu stanowi dziś poważne niebezpieczeństwo dla powieści i noweli. Może się też wydawać, że dla uratowania obu tych rodzajów niezbędna jest kombinacja starych elementów poetyckiej fikcji z nowymi elementami reportażu. I rzeczywiście, poczyniono w tym kierunku parę chwalebnych wysiłków, że wymienimy chociażby „roman picaresque” F. L. Celine’a: „Voyage au bout de la nuit” lub niektóre utwory A. Malraux. Mimo to, „czysta” powieść i nowela zwycięsko obroniły w naszych czasach niepodległość swego bytu, pozornie lub rzeczywiście zagrożonego przez reportaż. Przykładem tego — twórczość beletrystyczna Tomasza Manna. Prawdziwy reporter nie ma ambicji transfigurowania postaci, które na swych drogach napotkał. Nie chce on też odtwarzać, a raczej przetwarzać procesów duchowych ludzi, z którymi się zetknął. Zadawała się on subiektywną lub obiektywną charakterystyką postaci, dokonaną przeważnie według przyjętych szablonów. Natomiast powieściopisarz widzi ludzi jak gdyby „pierwszy raz”, czyli tak, jakby przed nim nikt jeszcze ich nie oglądał, choćby to były postaci znane każdemu dziecku z historii. To właśnie nazywam transfiguracją. Powieściopisarz i nowelista mają nie tylko prawo, lecz i obowiązek insynuowania ludziom najbardziej nieprawdopodobnych (w oczach reportera) i najbardziej irracjonalnych rysów charakteru i mają prawo przy pomocy „spreparowanych” ludzi — urządzić najfantastyczniejszą widowiską. W ostatniej powieści Tomasza Manna z cyklu „józefińskiego”, p.t. „Joseph, der Ernährer” spotykamy n.p. naczelnika więzienia, niejakiego Mai-Sachme. Duszę tego starożytnego Egipcjanina wyposażył Tomasz Mann w tak

piękne i szlachetne cechy, jakich w „życiu” nie napotkał chyba jeszcze żaden więzień na przestrzeni całych dziejów ludzkości.

I jeszcze coś. Lektura dzieł poetyckiej wyobraźni sprawia nam często przyjemność, choćby tematy tych dzieł były okropne i obrzydliwe. Zdaje się, że Fryderyk Schiller nazwał to „das Gefallen an schauderhaften Gegenständen”. W reportażach szukamy czego innego: zaspokojenia naszej ciekawości. A groza, którą przedstawia reporter jest tylko grozą, obrzydliwość tylko obrzydliwością.

Tak więc nie należy lekceważyć momentu delektacji, spowodowanej sztuką poety. Delektacja jest często jedynym wskaźnikiem, czy w naszej lekturze mamy do czynienia z dziełem sztuki. Dzieła takie jak „Boska Komedia”, „Ludzka Komedia”, powieści Dostojewskiego, lub „Góra czarodziejska” Tomasza Manna — dają nam wiele rozkoszy intelektualnych i moralnych, nie mówiąc o rozkoszy estetycznej, mimo iż pełno w nich tematów odrażających.

Trudno powiedzieć, żeby doskonała książka Karskiego była „piękna”. Jest ona tylko wstrząsającym dokumentem epoki, kiedy piekło przeniosło się z podziemi na ziemię. Piekło Dantego jest piękne i pozwala nam przeczuć niebo. Albowiem tylko poeta potrafi nadać metafizyczny aspekt grozie i szpetocie ludzkiego istnienia i przez to nawiązać kontakt między ziemią a tą sferą, do której każdy człowiek dąży świadomie lub podświadomie, z pomocą religii, lub — bez.

Zastanawiając się nad formą hołdu dla Tomasza Manna, doszedłem do przekonania, że najlepiej uczynię, jeśli w osobie autora „Buddenbrocków”, „Góry Czarodziejskiej” i tetralogii o biblijnym Józefie, uczczę gatunki poetyckiej prozy, której Tomasz Mann jest mistrzem. Tym bardziej, że twórczość jego przypada na okres, w którym granice między zmysleniem poetyckim a reportażem, zaczynają się jakoby zacierać.

Tomasz Mann wiernie kontynuuje w naszych czasach dobrą tradycję europejskiej sztuki narracyjnej, którą rozpoczęli: Bionello, Boccaccio, Cervantes i Madame de Lafayette. Należy on do tych nielicznych pisarzy współczesnych, którzy, jak niegdyś Dante Alighieri, wyrażają w swych utworach jednocześnie to, co w liturgii katolickiej nazywa się „visibilia et invisibilia”. Samym arcyzmem swej narracji potrafi on czytelnika stortuowanego „prawdziwością” życia na naszej planecie — przenieść w równie prawdziwy, choć zmyślony świat harmonii. Zaś sztuka przenoszenia ludzi z jednego świata do innego jest tylko przywilejem bogów, oraz wielkich artystów. Takich, którzy n a p r a w d ę byli we wnętrzu ludzkich dusz.

A tam jest piekło i czyściec i niebo.

BOLESŁAW BRZozowski

PRÓBY ORGANIZACJI POKOJU

W chwili obecnej raz jeszcze stoimy wobec zadania zorganizowania pokoju. Od powodzenia na tym najważniejszym odcinku zależy wszystko — istnienie narodów i jednostek, rozwój dóbr fizycznych i duchowych, skazanych na zagładę w razie, gdyby organizacja pokoju nie zdołała uchronić świata od nowej wojny. W takiej chwili, jak żadna inna, brzemiennej w możliwości konstrukcji i zniszczenia, godzi się spojrzeć wstecz i zobaczyć, jakimi drogami ludzkość usiłowała tworzyć pokojowe współzycie narodów, co osiągnęła i dlaczego nie osiągnęła naczelnego celu — trwałego pokoju. Pozwoli to lepiej zrozumieć istotę zadań naszego czasu, aktualnych możliwości i niebezpieczeństw.

Organizacja międzynarodowa — raczej jej próby — nie zaczęły się od genezy Ligi Narodów, istniały bowiem od czasów najdawniejszych. Należą tu t.zw. Ligi amfiktyońskie w dawnej Grecji, t.j. konfederacje suwerennych miast-państw greckich o charakterze polityczno-sakralnym. Liga delficka, deloska (478 - 338 p.N.Ch.), achajska (od IV w. p.N.Ch.) były próbami zastąpienia anarchii międzynarodowej normami organizacyjnymi, które o tysiące lat wyprzedziły swą epokę. Warto przypomnieć, że miasta połączone w Ligę Achajską zachowały swobodę administracji swych spraw wewnętrznych, gdy sprawy zagraniczne prowadzone były wspólnie przez Zgromadzenie wszystkich członków, którzy, bez względu na rozmiar i wagę danego miasta, posiadali równy głos. Tylko Zgromadzenie mogło wypowiedzieć wojnę i zawierać traktaty międzynarodowe. Członkowie Ligi obowiązani byli do okazania zbrojnej pomocy miastu, które padło ofiarą agresji, określonej jako zniszczenie miasta, odcięcie dopływu wody lub zniszczenie świątyni delfickiej (później apollińskiej). Liga Deloska posiadała wspólną flotę i wojsko dla obrony Ligi jako całości i każdego z jej członków. Nadto ligowe siły zbrojne zmusić mogły nie członków do poddania się ustalonym normom (np. Sparta została zmuszona do przystąpienia do Ligi w 192 r. p.N.Ch.).

Te pierwsze próby wniesienia ładu w sprawy wojny i pokoju przemówiły z zamierzczej przesłodzi po dwóch tysiącach lat, gdy twórca konstytucji amerykańskiej Madison w artykułach, ogłoszonych w „The Federalist” w 1778 r. powołał się na przykład grecki dla uzasadnienia swoich koncepcyj konstytucyjnych.

Gdy na gruzach dawnej Grecji powstało Cesarstwo Rzymskie, jego uniwersalizm przeszkodził rozwojowi prawa międzynarodowego, zakładając jednak podwaliny praworządności wewnętrznej. Wieki średnie, z ich chaosem i nieprzerwanym ciągiem wojen nie przeszkodziły Dantemu w wysnuciu koncepcji oparcia stosunków międzynarodowych na sprawiedliwości. W „De Monarchia” (początek XIV w.) Dante walczy o ideę sprawiedliwości międzynarodowej, za której wcielenie, zgodnie z duchem czasu, uważa osobę monarchy, gdyż on tylko posiada moc wymierzania wszystkim należnej im sprawiedliwości.

W XVII w. (między 1617 a 1638) Sully opracował swój „Wielki Plan”, który skromnie przypisywał Henrykowi IV. Jest to chyba najciekawszy dokument wszystkich czasów, powstały w okresie największego nasilenia wojen religijnych. „Plan” Sully’ego proponował utworzenie Wielkiej Rady z 66 przedstawicieli 15 państw europejskich. Większe państwa miały mieć po 4, mniejsze po 2 delegatów, których kadencja trwa trzy lata. Rada ma rozstrzygać spory pomiędzy państwami, kontrolować ich sprawy wewnętrzne, zwłaszcza religijne, dysponować zbiorowymi siłami zbrojnymi. Obok Wielkiej Rady miały istnieć Rady mniejsze (regionalne), które miały załatwiać sprawy o znaczeniu lokalnym. Od Rad mniejszych przysługiwać miało prawo odwołania się do Wielkiej Rady. Zbiorowe siły zbrojne służyć miały zarówno dla obrony członków federacji przeciwko agresji, jak dla wykonywania decyzji Wielkiej Rady, a więc stosowania sankcji wojskowych. W ten sposób Sully chciał zapobiec wojnom, które „ludzkości nigdy nie przyniosły szczęścia i których od dawna winna się była wyrzec”.

Okolo 50 lat później (1693) William Penn, Anglik i Kwaker, ogłosił „The Peace of Europe” — projekt parlamentu europejskiego dla decydowania o wszystkich sporach pomiędzy suwerennymi państwami. W razie gdy państwo odmówiłoby poddania sporu Parlamentowi, nie wykonało jego decyzji wcale lub w terminie wyznaczonym, lub też użyło siły dla osiągnięcia swych celów, bądź zaspokojenia swych pretensji, wszystkie inne państwa, połączone w całość, zmusić miały gwałciciela pokoju do poddania sporu ich kompetencji, wykonania decyzji i zapłaty odszkodowania stronie pokrzywdzonej. Plan mocno podkreśla dwa elementy organizacji

pokoju: trybunał międzynarodowy i sankcje wojskowe dla wymuszenia posłuchu dla jego orzeczeń.

Znacznie dalej posunął się „Projet de paix perpetuelle”, ogłoszony przez opata Saint Pierre w 1713 r. i uderzająco podobny do Paktu Ligi Narodów, a nawet do Karty Atlantyckiej. „IV podstawowy artykuł” projektu głosi, iż państwa europejskie na zawsze pozostać mają w stanie i granicach, w jakich się znajdują. Oznacza to gwarancję nienaruszalności terytorialnej, przewidzianą w art. 10 Paktu Ligi Narodów. „Drugi fundamentalny artykuł” opata Saint Pierre gwarantuje, iż monarchie dziedziczne pozostaną dziedzicznymi według sposobów i zwyczajów każdego państwa, zaś w krajach, które przyjęły system elekcyjny, system ten pozostanie w mocy. Cóż innego głosi art. III Karty Atlantyckiej, gwarantujący każdemu narodowi prawo obrania sobie formy rządu, jakiej pragnie? Tak usankcjonowany status quo mógł być zmieniony za zgodą i pod gwarancją 3/4 głosów Związku Państw. Idzie to dalej niż art. 19 Paktu L.N., według którego Zgromadzenie Ogólne Ligi mogło w pewnych wypadkach jedynie „zalecić” rewizję traktatów, gdy w projekcie Saint Pierre’a zmiany mogły być stanowczo przeprowadzone kwalifikowaną większością głosów Senatu (Rady 24 państw). Senat ten miał pełnić funkcje mediatora, w razie zaś niepowodzenia mediacji — trybunału orzekającego takąż większością głosów. Wszczęcie wojny na własną rękę, niewykonanie orzeczenia lub innej decyzji Senatu, zostają potępione jako akt agresji przeciwko związkowi, który zmusi opornego do posłuchu. Tendencja uniwersalna związku idzie tak daleko, że odmowa przystąpienia uznana jest za naruszenie pokoju europejskiego i uprawnia związek do prowadzenia wojny przeciwko danemu państwu aż przystąpi do związku albo zostanie przez związek dotychczasowemu władcy odebrane.

Ta ostatnia grupa idei Saint Pierre’a zaważyła na redakcji tak nowoczesnego dokumentu, jak Protokół genewski 1924 r., który również przewiduje postępowanie rozjemcze, ewentualnie sądowe, wprawdzie nie przed senatem, lecz przed Trybunałem, wybranym przez Radę L.N. (art. 4). Podobnie do koncepcji Saint Pierre’a, protokół genewski w art. 10 określa agresję m. in. jako odmowę poddania sporu Radzie i odmowę wykonania orzeczenia sądowego lub rozjemczego, lub jednomyślnej uchwały Rady. Gdy art. 16 Paktu Ligi Narodów przewiduje tylko, iż Rada może „zalecić” sankcje wojskowe (zresztą nigdy się to nie stało), Saint Pierre żąda, aby wszyscy członkowie związku w razie powzięcia takiej uchwały przez Senat, automatycznie rozpoczęli wojnę przeciwko agresorowi. Znow w Protokóle genewskim spotykamy przepisy, zbliżone do sugestii Saint Pierr’a, gdyż art. 11 Protokółu przewiduje, iż w razie uchwalenia sankcji przez Radę wchodzi one w życie natychmiast i we wszystkich postaciach, przewidzianych przez Pakt Ligi Narodów.

Projekt Saint Pierre’a znalazł gorącego wyznawcę w osobie Rousseau’a, który proponował utworzenie Ligi Europejskiej, uzbrojonej i zdolnej do wymuszenia posłuchu („Trwały pokój przez Federację Europejską” 1761-1782). Rousseau myślał, że narody przyjmą jego projekt we własnym interesie. „Gdyby jednak projekt nie został wykonany, stałoby się tak nie dlatęgo, że projekt jest utopią, lecz dlatęgo, że ludzie są wariatami, a posiadanie zdrowego rozsądku w świecie szaleńców jest samo przez się rodzajem obłądu”.

Kant w „Wiecznym Pokoju” (1795) nie łączył pokoju z podniesieniem powszechnej moralności, lecz widział w nim ostateczny cel rozwoju historycznego, odbywającego się wbrew ludzkiej woli i niezależnie od niej według planów, nakreślonych przez przeznaczenie. Ponieważ ten wyższy plan prowadzi do harmonii, wojny w ostatecznym wyniku prowadzą do zjednoczenia. Gra tu instynkt samozachowawczy, pobudzony przez zniszczenia wojenne i nędzę, dla których uniknięcia powstają konfederacje

i federacje. Federacja wolnych państw, oparta na rządzie prawa, jest celem ludzkości, choćby mimowolnym, ale zgodnym z wolą Natury.

Pogląd Kanta został potwierdzony przez okoliczności powstania zjednoczonej Italii, Rzeszy Niemieckiej, Stanów Zjednoczonych A.P., Związku Południowo-Afrykańskiego, Ligi Narodów. Jeżeli przepowiednia Kanta, iż „mechanizm natury” z nieubłaganą koniecznością prowadzi do wiecznego pokoju, jest prawdziwą, drogi do tego celu są trudne i okrężne.

Po wojnach napoleońskich pokój europejski oparto na zasadach, które nie tylko usankcjonowały reakcję wewnątrz państwową, ale również powstrzymać miały postęp historyczny przez nadanie dyktaturze wielkich mocarstw charakteru nadprzyrodzonego. W art. II deklaracji o utworzeniu Świętego Przymierza z 26.IX.1815 monarchowie uznali się za wyznaczonych przez Opatrzność do rządzenia trzema gałęziami jednej rodziny chrześcijańskiej, stwierdzając, iż w ten sposób prawdziwym władcą jest Bóg, który jedynie posiada prawdziwą władzę i t.p. Element mistyczny, wprowadzony przez Aleksandra I, nie bardzo nadawał się jako łącznik międzynarodowy. Toteż realista Castelreigh uważał ten dokument za niewinne głupstwo, w istocie był on jednak sprzysiężeniem despotów przeciwko wolności.

Do wprowadzenia tych pozornie wzniosłych ideałów w życie trzeba było stylu bardziej prawniczego, niż mistyczna frazeologia Aleksandra. Toteż art. VI aktu Czwórprzymierza z 20.XI.1815 wprowadził do polityki europejskiej nowy element, mianowicie periodyczne zebrania czterech monarchów, względnie ich delegatów, dla omawiania najważniejszych spraw wewnętrznych oraz zachowania pokoju. Spór między ówczesną wielką czwórką powstał z powodu wykładni zobowiązań, wynikających z wymienionych aktów. Gdy bowiem Castelreigh uważał, że Anglia nie ma obowiązku zwalczania ruchów rewolucyjnych w innych krajach, Metternich uważał, że każde z państw czwórprzymierza musi zbrojnie tłumić rewolucję w jakimkolwiek kraju.

W 1818 r. Aleksander domagał się utworzenia „ogólnego związku suwerenów przeciwko rewolucji”. Wobec oporu Castelreigh'a, w tym wypadku popartego przez Metternich'a, doszło jedynie do formułki o moralnej solidarności, to jest formułki, z której nie wynikały żadne konkretne zobowiązania.

„Moralna solidarność” załamała się już po dwóch latach w związku z rewolucją hiszpańską, gdy Castelreigh oświadczył, iż Anglia nie może odmówić innym państwom prawa do zmiany formy rządów i nie może działać bez poparcia Parlamentu i narodu. W tymże 1820 r. trzej monarchowie na zjeździe w Troppau oświadczyli, że nigdy nie dopuszczą do tego, by naród mógł ograniczyć władzę monarchy, co kolidowało ze stanowiskiem Anglii.

Opozycja zachodnich demokracji przeszła w akcję zbrojną przeciwko Rosji w 1854 r. Przy okazji zawarcia traktatu pokojowego paryskiego w 1856 r. mocarstwa po raz pierwszy w dziejach wyraziły „życzenie, aby państwa, przed rozpoczęciem działań wojennych usiłowały rozstrzygnąć spór przy pomocy „dobrych usług” zaprzyjaźnionego państwa”. Powyższe „życzenie”, aczkolwiek nieśmiałe i nie wiążące, zapoczątkowało nową epokę w rozwoju międzynarodowej organizacji pokoju.

„Życzenie” z 1856 r. zostało podjęte przez I Konwencję Haską o pokojowym załatwianiu sporów międzynarodowych (1899 i 1907). Przed użyciem siły zbrojnej państwa dołożyć mają wszelkich starań dla pokojowego załatwienia sporu. Konwencja przewiduje dwa sposoby załatwienia: „dobre usługi” (jak oświadczenie paryskie) i rozjemstwo. W sporach międzynarodowych, nie naruszających honoru i żywotnych interesów państwa, powoływane być mają międzynarodowe komisje śledcze. Nadto utworzony został Stały Trybunał Rozjemczy z siedzibą w Hadze. Państwa oświadczyły, iż uznają arbitraż za najwłaściwszy sposób rozstrzygnięcia

sporów międzynarodowych natury prawnej, zwłaszcza dotyczących wykładni traktatów, oraz że poddanie sporu arbitrażowi stanowi tym samym zobowiązanie się państwa do wykonania orzeczenia rozjemczego. Orzeczenia Trybunału Rozjemczego są ostateczne i bezapelacyjne.

Utworzona na podstawie I Konwencji Haskiej międzynarodowa komisja śledcza zbadała w 1904/5 roku sprawę ostrzeliwania angielskiej flotylli rybackiej pod Hull przez marynarkę rosyjską z powodu rzekomego ukrywania przez Anglików torpedowców japońskich. Komisja ustaliła, że żadne jednostki japońskie tam się nie znajdowały, wobec czego akcja rosyjska nie była uzasadniona. Rosja zapłaciła £65.000 — tytułem odszkodowania.

Załatwienie powyższego sporu potwierdziło doraźnie praktyczność konwencji, która w swym całokształcie stanowi najpoważniejszą przed pierwszą wojną światową próbę organizacji pokoju w Europie i okazała się nader skutecznym instrumentem dla likwidowania pomniejszych sporów międzynarodowych. Gdy jednak po okresie względnego pokoju (1871-1914) doszło do poważnego konfliktu, istnienie konwencji arbitrażowej nie powstrzymało wybuchu wojny światowej.

Po pierwszej wojnie światowej podjęto próbę oparcia pokoju na trwałych podstawach. Z inicjatywy Wilsona powstała Liga Narodów, rozumiana nie jako nadpaństwo, lecz jako pewnego rodzaju parlament światowy. Pakt Ligi głosi, że stosunki międzynarodowe mają być oparte na prawie, sprawiedliwości i poszanowaniu traktatów. Wszyscy członkowie Ligi mają równy głos w jej organach (Radzie i Zgromadzeniu), wszyscy wzajemnie sobie gwarantują niepodległość polityczną i nienaruszalność terytorialną, i zobowiązują się nie rozpoczynać działań wojennych przed wyczerpaniem procedury pokojowej (arbitraż, postępowanie sądowe lub przed Radą). Jeżeli postępowanie przed Radą zakończy się uchwałą jednogłosem, członkowie Ligi nie mogą prowadzić wojny przeciwko państwu, które uchwałą Rady wykonało. Jeżeli Rada nie wyda jednogłosem uchwały, członkowie Ligi mają wolną rękę, jednak nie mogą rozpocząć wojny przed upływem trzech miesięcy od wydania uchwały Rady lub orzeczenia sądowego lub rozjemczego. Państwo, które nie stosuje się do powyższych norm prawnych, jest agresorem, i Rada może zalecić zastosowanie przeciwko niemu sankcji ekonomicznych i wojskowych, a nawet państwo to z Ligi wydalić. Dla rozstrzygania sporów międzynarodowych natury prawnej („justiciables”) utworzono Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej, który orzeka na podstawie prawa, a w razie zgody stron, również na podstawie słuszności (*ex aequo et bono*). Orzeczenia Trybunału zapadają w formie opinii doradczych lub wyroków. Kompetencji Trybunału podlegają spory prawne, skierowane przez strony, bądź wszystkie spory prawne pomiędzy państwami, o ile przyjęły one t.zw. optional clause (klauzulę tę przyjęło około 50 państw).

Liga Narodów od samego początku została storpedowana przez abstynencję Stanów Zjednoczonych. To był faktyczny powód słabości Ligi, pogłębiony następnie, gdy państwa, korzystając z t.zw. klauzuli secesyjnej, występowały z Ligi jedno po drugim i w ten sposób zrywały podstawy międzynarodowej współpracy pokojowej. Niemcy i Japonia wystąpiły z Ligi w 1935 r., Italia w 1938, szereg republik łacińsko-amerykańskich w różnym czasie. Prócz faktu, że szereg wielkich państw znalazł się poza Ligą, przyczyny jej słabości tkwiły również w lukach prawnych paktu, a w większym jeszcze stopniu w sposobie jego wykonywania przez członków Ligi. Do wad prawnych zaliczyć należy wymóg jednomyślności, ograniczone kompetencje organów Ligi do wydawania zaleceń, a nigdy decyzji, łatwość wystąpienia z Ligi. Wprawdzie sankcje ekonomiczne ujęte są w pakcie jako automatycznie działający skutek działań, potępionych przez Pakt, w praktyce (spór włosko-abisyński) Liga nie zastosowała ani wszystkich sankcyj, ani nie zastosowała ich natychmiast. Sankcje woj-

skowe mogły być tylko zalecone i nie były wiążące. Rada nigdy ich nie zaleciła. W sporze chińsko-japońskim Rada nie zastosowała żadnych sankcji, upoważniając jedynie członków do działania według własnej opinii. W ten sposób z połowiczną i nieśmiałą redakcją Paktu łączył się wyraźny brak woli jego ścisłego stosowania. Obydwa te czynniki musiały doprowadzić do bankructwa Ligi, aczkolwiek przypuszczać wolno, że szczerzy wysiłek członków Ligi dla utrzymania jej autorytetu mógłby przewyciężyć braki natury prawnej. Wspomniany już wyżej Protokół genewski z 1924 r., który usiłował wzmocnić system sankcji i stworzyć przymusową kompetencję Trybunału, nigdy nie wszedł w życie z powodu braku potrzebnych ratyfikacji (między innymi brytyjskiej).

W chwili obecnej odbywa się konferencja w San Francisco. Podstawą jej jest projekt Organizacji Światowej Narodów Zjednoczonych, opracowany w Dumbarton Oaks przez „wielką czwórkę” w październiku 1944 r. Niepodobna przewidzieć zmian, jakim projekt ulegnie w wyniku konferencji, ograniczyć się przeto narazie wypada do kilku uwag odnośnie projektu Dumbarton Oaks.

Projekt nie precyzuje, jakie zasady mają być stosowane przez nową organizację. Daje on jej natomiast siłę do wykonania uchwał, które zapadać mogą w formie nie tylko zaleceń, ale i obowiązujących decyzji. Projekt zobowiązuje członków do pokojowego załatwiania sporów międzynarodynarodowych, koncentruje całą władzę wykonawczą w Radzie Bezpieczeństwa, sprowadzając Zgromadzenie Ogólne do roli organu opiniotwórczego i zalecającego, jednak nie decydującego. Rada może przedsięwziąć wszelkie kroki dla utrzymania pokoju w razie groźby agresji (funkcje prewencyjne), lub dla przywrócenia pokoju w razie wybuchu wojny. Projekt nie określa agresji, pozostawiając tę niesłychanie delikatną sprawę swobodnemu uznaniu Rady. Celem zapewnienia wykonania decyzji przy Radzie ma działać Wojskowa Komisja Sztabowa, dysponująca kontyngentami lotniczymi, oddanymi do dyspozycji Organizacji przez poszczególne państwa, oraz planująca akcję zbrojną, potrzebną dla wykonania decyzji Rady. W ramach ogólnej organizacji mogą istnieć organizacje regionalne, które będą działać bądź w nagłych wypadkach, zawiadamiając o tym Radę, bądź też z wyraźnego polecenia Rady. Trybunał Sprawiedliwości zostaje utrzymany dla rozstrzygnięcia sporów prawnych, kwestia statutu (dawnego lub zmienionego) nie jest jeszcze zdecydowana.

Aczkolwiek nie można przewidzieć, jak konferencja załatwi szereg ważnych spraw (m.in. sprawę głosowania w Radzie i działania organizacji regionalnych), już obecnie podkreślić można, iż szereg rządów (m.in. rząd amerykański) domaga się wprowadzenia klauzuli, że organizacja działać będzie na podstawie prawa i poszanowania traktatów oraz na podstawie gwarancji praw człowieka.

Oдноśne rządy wychodzą z założenia, że poszanowanie praw człowieka jest najlepszą gwarancją demokracji i zaporą przeciwko nawrotom faszyzmu, że demokracja i pokój są pojęciami równoznacznymi, gdy faszyzm i ucisk jednostki wcześniej czy później doprowadzić muszą do nowej wojny. Jeżeli konferencja wnioski te przyjmie, może ona stać się początkiem ery pokoju, opartej na prawach człowieka.



KONCERT

(Dokończenie — Por. Część I i II w Nr. 3 i 4/45)

Budzę się. Nie mogę powiedzieć, że wstaję, bo spałem w mej dziurze w pozycji prawie stojącej. Nie wiem, dlaczego się zbudziłem — aha, słyhać czyjeś ciężkie kroki. Oddalają się od stodoły, cichną. Wołam szeptem:

„Buka! Buka! Zbudź się, spójrz na zegarek!”

Rzeczywistość jest ponura. Bardzo zimno i ciemno. Ale daj Boże, aby dzisiaj było tak pomyślne, jak wczoraj.

Gramolimy się z trudnością ze stodoły; deska, która nas tak gościnnie wpuściła do środka, nie chce nas teraz wypuścić. Mocujemy się z nią długo, huk się robi i gwałt.

Jesteśmy wreszcie na zewnątrz.

Zadymka — brrr, jak nieprzyjemnie. Ciemno zupełnie.

Przecinamy szybko wieś i dochodzimy do szosy, która biegnie z przeciwnej strony wioski. Szeroka ładna droga, równa jak stół, wysadzana po obu stronach drzewami. Słupy telefoniczne. To szosa Łowicz — Sochaczew.

Maszerujemy nią raźnie w kierunku Sochaczewa; jeden obok drugiego, a nie jak dotąd: jeden za drugim.

Szosa idzie się wyśmienicie, ale musimy się jednak z nią pożegnać. Niebardzo bezpieczny jest ten spacer, dzień wstanie już niedługo i szosa się pewnie zaludni. Trzeba zejść na prawo i iść dalej polami, jak przedtem. Przykre to, ale konieczne. Brniemy po śniegu, zapadamy się głęboko w zasy.

Jakieś łoży przed nami — dolina rzeki.

„Bzura” — mówi Buka.

Smutna rzeka Bzura — myślę — wygląda naprawdę melancholijnie. Dość szeroka i zapewne głęboka — ale zamrznięta. Można iść. Posuwam się ostrożnie, lecz po chwili idę pewniej, mocniej, strach mija. Staję nagle! Serce mi skacze do gardła, nogi wrastają w lód. Trzask jeden, drugi, trzeci — każdy głośniejszy od poprzedniego.

Lód się łamie, zaraz będzie po mnie — myślę głupekowato. Energia jednak przyżytywa. Wołam na Bukę, żeby tędy nie szedł, a sam kładę się ostrożnie na lodzie, bo z tyłu już się pokazuje woda i boję się wracać. Czołgam się powoli — obawiam się każdego szybkiego ruchu, — potem klękam, oglądam się. Tam, gdzie byłem przed chwilą, jest już czarno od wody.

Buka już jest na tym brzegu. Przeszedł szczęśliwie trochę powyżej mnie. I pod nim także lód się załamał, ale nie tak groźnie.

Idziemy dalej. Znowu jakaś wieś. W jednej z chat świeci się. Pukamy do okna. Jesteśmy zmęczeni i chcemy tu gdzieś wypocząć przez parę godzin. Ale tubalny, zaspany głos klnie nas, ile wlezie i zapowiada, że nie otworzy.—

Idziemy wsią, przeprowadzani przez zgrają agresywnych psów. Znowu światło w oknie i znowu taka sama odpowiedź na nasze pukanie. Ludzie boją się widocznie opryszków albo Niemców. Nie dziwię się zresztą.

Na prawo wskos kościół. Nie mogę się dopukać do plebanii, przechodzimy więc mimo. Spoglądam na szare mury kościoła i na krzyż, pamiątkę jakiejś misji. Takie to polskie. Schodzimy w dół ku dość dużemu cmentarzowi, otoczonemu grubym murem. Wpada mi do głowy myśl, że tu można by schować pas i paczkę z markami. Wchodzę na cmentarz, łażę między grobami, szukam jakiejś kryjówki, ale nie mogę się

zdecydować, bo wszystko zasypane śniegiem. Wracam do Buki, który czeka przy bramie. Idziemy dalej wzdłuż muru. Po chwili potykamy się o jakieś pagórki. Co to? Krzyże drewniane, proste — i helmy. Polskie stalowe helmy wojskowe przymarznąte do ziemi. Ścisła mnie coś za serce. To groby Polaków, poległych we wrześniu. Tu przecież były jedne z najcięższych walk, boje koło Kutna. Na wielu krzyżach są drewniane tabliczki. Niezgrabnie wypisane nazwiska i daty. „Wieczne odpoczywanie” — szepce. Spojrzeliśmy sobie z Buką w oczy, bez słowa.

Oddalamy się od cmentarza. Zmierzamy ku najbliższej chacie. Znowu prosimy o wpuszczenie na chwilę, aby wypocząć. Energiczny głos kobiety nie zgadza się na to, proponuje nam ironicznie odpoczynek u sołtysa.

— Jaka to wieś? — pyta Buka.

— A to nie wiecie?

— Nie wiemy.

— A ilu was jest?

— Dwu.

— A to są Bednary.

Buka odetchnął. Zna te strony. Mimo odprawienia nas przez kobietę, poweseleliśmy trochę. Po chwili mijamy szosę niedaleko toru kolejowego i rampy. Ktoś jedzie na rowerze. — Padamy w rów i leżymy bez ruchu, czekając aż przejedzie; potem idziemy dalej. Omijamy stację, która zostaje z prawej — i podchodzimy z boku do toru kolejowego. Jest już prawie całkiem jasno. Mija nas trzech mężczyzn, rozmawiających po polsku. Skracają wzdłuż toru w kierunku wysokiej budki kolejowej. Przejeżdża długi pociąg towarowy. Jakiś przyzwoicie ubrany jegomość idzie szybkim krokiem w kierunku stacji. Czasem biegnie — widocznie śpieszy do pociągu. W ręce trzyma porządną, skórzaną teczkę.

— Spasiony. Pewnie Szwab — mruczy Buka.

— Możliwe.

— Nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. To dobry znak. Uważasz?

— Tak. Tamci trzej także przeszli obojętnie. Widocznie nie wyglądamy ekscentrycznie. Nie będziemy przykuwać niczyjej specjalnej uwagi.

Przechodzimy przez tor i idziemy w stronę domów. Dochodzimy do nich znowu od strony stodół. Słychać skrzypienie koła studziennego i ryk krów. Wieś wstaje do późnionego, zimowego życia. Dymy z kominów biją prosto, na pogodę.

Z najbliższej stodoły słychać walenie cepem. Zachodzimy z boku przed otwarte wrota. Ze stodoły wychodzi chłop. Zaczynamy rozmowę od „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Odpowiada nam z dość miłym uśmiechem. Ośmieleni, prosimy go obcesowo o pozwolenie odpoczęcia w jego chacie i o coś do zjedzenia. Pyta, „coście za jedni”, ze spojrzeniem, które mówi: „wiem, coście za jedni”. Buka odpowiada, że uciekliśmy z niewoli.

Chłop rzuca ochotnie całą robotę i prowadzi nas do chaty. Żona jego, syn i parobek wstają zdziwieni — ale za chwilę po zamienieniu paru słów z gospodarzem i z nami, podejmują nas niezwykle gościnnie i serdecznie. I tu dopiero przekonałem się, jak olbrzymi talent ma Buka. Gęba mu się nie zamykała, trajlował bez przerwy. Bujął, jak najęty, ale mądrze bujał i ujął sobie wszystkich. Kobiecie dał proch z Grobu Pana Jezusa i medalik święty z Jerozolimy, gospodarzowi zapalniczkę. Ja dałem chłopcu łańcuszek na szyjoryk — i... zapanowała ogólna serdeczność. Babcina popłakała sobie, zaczęła uzalać się nad naszym losem, przeklinać Niemców, modlić się — co jej nie przeszkadzało wcale w gotowaniu śniadania.

W międzyczasie, wymyłem sobie skaleczony palec i przewinałem go — z pomocą kobiety — czystą szmatą. Dopuszczając do tajemnicy tylko gospodarza, wyczyściłem w zamkniętym na klucz pokoju pistolety, posługując się oliwą od maszyny do szycia.

W czasie obfitego śniadania doszedłem do nieodpartego wniosku, że Pan Bóg dał nam apetyt, ale sytność odebrał. Gospodyni z zadowoleniem patrzyła na znikające kromki chleba, barszcz, ziemniaki i kawałki mięsa ze świąt. „Podjedzcie se, chudziny” — rzekła z rozrzewnieniem.

Po śniadaniu chłop zaprowadził nas do stajni, gdzie na stryszku nad końmi rozścielone już były na słomie pierzyny i poduszki. Zdjąwszy buciki, rzuciliśmy się zaraz na posłanie, prosząc gospodarza o dawanie baczenia na wieś i okolicę.

Trudno mi opowiedzieć, jak cudownie się nam spało. W ogóle „kocham spać” — ale wtedy, w tej stajni, to była prawdziwa symfonia snu. Ciemno już było, gdyśmy się znowu znaleźli w izbie. Po kolacji przeszliśmy do drugiej, zimnej izby, na krótką rozmowę z gościnnym chłopem. Spisaliśmy na kartce marszrutę do Warszawy z ominięciem wszystkich wsi i osiedli, w których mieszkali Volksdeutsche. Zapytałem gospodarza, czyby nie zechciał mi przechować pasa, który już poprzednio wzbudził jego zainteresowanie. Oświadczyłem, że po kilku dniach zgłoszę się do niego lub przyślę kogoś z umówionym hasłem po odbiór. Chłop popatrzył na mnie poważnie i zwolna zapytał:

— Powiedźcie mi sumiennie, kto też wy jesteście?

...?

— No tak. Od samego przecie początku wiem, żeście wy nie z niewoli.

...?

— Już ja niejednemu „niewolnikowi” pomagał, ale takich jak wy jeszcze nie widziałem — tak porządnie ubranych i ozutych, z bronią, jakimś pasem na brzuchu...

— I z prochem z Grobu Świętego — wtrąciłem, śmiejąc się.

— I z prochem — skinął głową. Oparł brodę na spracowanej ręce i ciągnął dalej — Ja wam wierzę, żeście Polacy. Wiem, żeście dobrzy Polacy, lepsi ode mnie i od wielu. Robicie ważne rzeczy, to się widzi. Pomogę wam w czym będę mógł, ale — wybaczcie — powiedzcie, coście za jedni?

Buce w to graj! Nie trzeba go było dwa razy prosić. Kiedy zaczął gospodarza „informować”, kim jesteśmy, myślałem, że pękne z tłumionego śmiechu. Dowiedzieliśmy — bo i ja także — że jesteśmy „Delegatami całego Rządu i Gen. Sikorskiego w szczególności” (t.zn. on sam, a ja jego sekretarzem — „bo przecie widzicie, że on jeszcze za młody”), że nas Władzio („Gen. Sikorski” — wtrąciłem szybko) wysłał w łodzi podwodnej na Bałtyk — („o, nasze łodzie podwodne mają wprawę w przemykaniu się między minami niemieckimi”), żeśmy zostali wysadzeni na ląd koło Królewca i że wreszcie — tu dopiero dotknął lekko, jakby mimochodem, prawdy — przekraczając granicę, zabiliśmy kilkunastu (!) Niemców, a teraz uciekamy przed pościgiem i chcemy dojść do Warszawy.

Chłop słuchał uważnie. Wyraźnie i z niejaką uciechą czułem, że przesiewa słowa Buki przez swój „zdrowy pomysłunek”, jak przez sito. Czasem łypnął na mnie okiem, czasem zdziwił się grzecznie, kilka razy uśmiechnęliśmy się do siebie dość porozumiewawczo. A Buka tokował, jak na wiecu, gestykułował, opowiadał, przepowiadał, wspominał o odznaczeniu po wojnie, o ludzie i robotnikach, o potrzebie jedności i zakończył znowu na Sikorskim. Spryciarz! Widział, że nazwisko Generała zrobiło największe wrażenie. Gospodarz zgodził się na wszystko, wziął pasy i paczki, starannie umówił z nami hasło.

Z dużym wzruszeniem i wdzięcznością pożegnaliśmy całą rodzinę. Gospodyni wcisnęła nam do ręki po kawałku chleba z serem i mięsem, z płacem przyciskała mnie do piersi i błogosławiła na drogę, mówiąc coś cicho o mojej Matce i o Polsce i o poświęceniu — i o tym, by ich kiedyś znów odwiedzić... Gospodarz wyprowadził nas daleko za wieś, pokazując dalszy kierunek.

Noc była ciemna, wietrzna, nieprzyjemna. Szliśmy bez przerwy przez 7 godzin, raz tylko — jeszcze wcześniej z wieczora — wchodząc do jakiejś chaty i pytając o dalszą drogę. Przyjęto nas gościnnie, dano gorącego mleka i pokazano kierunek marszu na Warszawę, nie wpytując zbytnio kim jesteśmy, a raczej dając do zrozumienia, że się domyślano, iż pytać nie należy.

Idąc bez słowa, zapatrzony w ciemność, zaśluchany w ciszę, miałem czas myśleć. Coraz bardziej wzruszony byłem postawą naszego ludu, postawą w pełni patriotyczną, nacechowaną dużym zrozumieniem sytuacji, bezinteresownością i nienawiścią do okupanta.

Około godz. 1-ej po północy goniliśmy już resztkami sił. Kopny, głęboki śnieg, wiatr wprost w usta i wiele przeszkód po drodze — wyczerpały nas. W jednej z wiosek znaleźliśmy stodołę, stojącą trochę na uboczu. Zakopani głęboko w sianie, odpoczywaliśmy, drzemiąc — nie zwracając już najmniejszej uwagi na ujadanie psów, które nas zwietrzyły i kilkakrotnie, szekając, powracały pod stodołę. Cierpliwość nasza i cisza zwyciężyły wściekłość psów i złość chłopca, który długo — zaniepokojony ujadaniem — obchodził całe gospodarstwo, klnąc w głos i odgrażając się równocześnie złodziejom, jeśliby byli i psom, jeśliby złodziei nie było.

Potem już było cicho. Skończył się drugi, pełny wrażeń dzień. Robiło mi się ciepło i błogo, potem coraz cieplej i cieplej. Zrozumiałem, że to gorączka. Spieczone wargi i gorące czoło potwierdzały to przypuszczenie. Nie bałem się jej jednakże, gdyż miałem na nogach wspaniałe, starannie natłuszczone buciki... One to uchroniły mnie od choroby. Mimo dwu pełnych dni, spędzonych na śniegu, nogi miałem suche. Z dumą i wyższością myślałem o mych kolegach, którzy na punkcie wyczekiwania śmieli się ze mnie i uważali mnie za maniaka, gdym co wieczora zabierał się do smarowania bucików. Urządzałem z nimi różne próby, nawet takie, jak wsadzanie na noc do wody, by sprawdzić, czy jej skóra nie przepuszcza. Buka „wydziwiał” wtedy na moje „harcerskie kawalki” — a teraz, przeklinając swoje mokre nogi, przyznawał mi rację.

Po jakimś czasie zasnąłem. Ale budziłem się co chwila, budząc także Bukę i pytając go szeptem o godzinę. Zgorączkowany był i roztrzęsiony. Widząc, że się rozklejamy obaj, zdecydowałem, że trzeba iść dalej. Buka poddał się po krótkim oporze, narzekając po cichu na młodych „dyktorów”. Była godzina 3.30 rano, gdyśmy wychodzili.

Czułem się słaby i nieszczęśliwy. Buka także żalił się po cichu na nasz los, przeklinając od czasu do czasu ujadające psy i Niemców. Nagle stanął i rzekł wyjątkowo głośno:

— Psia krew! a jednak wolę być tu, po kolana w śniegu, zmarznięty, chory i zmęczony, niż tam, w Londynie, zdrowy, bezpieczny i w łóżku.

— Ja także — odpowiedziałem — Gdyby mnie nie wysłano, byłbym na pewno bardzo nieszczęśliwy.

Humory się zaraz poprawiły. Oczywiście. Praca, jaką nas zaszczyciono, jest piękna, a że są trudności — ha! gdzie ich nie ma? *Nibil est ab omni parte beatum*. A świadomości dobrze spełnionego obowiązku nie oddalibyśmy nikomu.

Szliśmy — wydawało się nam — dość rażno; ale wskazówki na Bukowym zegarku biegły powoli, jakby z trudem. Mijaliśmy ciche, uśpione wsie, zagubione w zaspach śniegu. Mozolnie pokonywaliśmy pocięte brózdami pola, potykając się na zdradliwie przysypanych, zmarzniętych skibach. Z uczuciem ulgi wchodziliśmy na byle jaką dróżkę — z żalem rozstawaliśmy się z nią.

Mróz zelżał nieco. Śnieg sypał wielkimi płatami, pokrywając śpiący kraj nową, grubą warstwą. Na kilka kroków nie widzieliśmy kompletnie nic. Niespodziewanie wyrastały przed nami nagie, bezlistne drzewa, parkany, przykucnięte do ziemi chaty. Co chwila któryś z nas wpadał

do głębokiego rowu, grzął powyżej kolan w zaspie. A śnieg padał bezlitośnie, dostawał się do oczu i ust, układał się na ramionach w białe epolety, na rękawach przybierał kształt temblaków. I, mimo że padał bezszelestnie, gluszył sobą wszystko, tłumił wszelkie odgłosy budzącego się dnia. Szczekanie psów dochodziło jakby spod puszystego koca, pianie kogutów brzmiało jak bardzo odległa trąbka, mimo że chaty i obory były tuż, o kilkanaście kroków.

Świat wydał mi się pijany na ponuro. Kręciło mi się w głowie od padających płatków śniegu, zataczałem się ze znużenia. Upadałem często, postawiwszy zbyt pochopnie i nierówno nogę, szciero co wyciągniętą z trudem ze śniegu. Szedłem, jak się chodzi na szrudłach po głębokim, grząskim błocie. Buka sapał ze zmęczenia, stękał głucho przy każdym upadku. Mieliśmy obaj zdecydowanie dość. Z rozpaczą myślałem, że gdyby teraz przyszło uciekać przed Niemcami—nie potrafilibyśmy się na to zdobyć.

Rozwidniało się. Szliśmy już tylko z przyzwyczajenia. Właściwie to nie myśmy szli, tylko nasze automatyczne nogi. Byliśmy wyczerpani i zrezygnowani.

Około godz. 7.30 gdy się już rozwidniło, znaleźliśmy się przy bramie jakiegoś dużego parku, ogrodzonego murem. Koło bramy stał duży, ładny dom, zapraszający nas do wnętrza błyszczącymi światłem oknami i dymem z komina. I tu nam nogi odmówiły posłuszeństwa. Staliśmy chwilę odpoczywając, potem weszliśmy.

Kilka osób jadło śniadanie, siedząc na ławach i stołkach przy dużym stole. Mężczyzna — głowa domu — popatrzył na nas pytająco i po kilku słowach powitania i „szmuglerskiego” wyjaśnienia zaprosił nas ruchem ręki do stołu. Po chwili, skończywszy śniadanie, wyszedł, żegnając się z nami i mówiąc, że idzie do pracy. Był ekonomem na folwarku. Kobiety i dzieci zajęły się nami z dużą serdecznością, wypytując o Warszawę i o szmugiel. Traktowano nas, jako gości „na szczęście” bo właśnie poprzedniego wieczoru wydano córkę zamąż. Obfite śniadanie, które poczytywaliśmy za resztki ze świąt, było resztkami uczytu weselnej.

Po chwili przybiegła wesoła, rumiana od mrozu i szczęścia ex-panna młoda. Była nam bardzo rada, tym bardziej, że Buka, wprowadzony w świetny nastrój śniadaniem, ciepłem i wypoczynkiem, sypał dowcipami na prawo i lewo, pytając niedyskretnie młodą kobietę o wrażenia ostatniej nocy i udzielając jej ze śmiechem fachowych rad na nową drogę życia. Ich myślą przewodnią było: trzymać męża krótko i mieć dużo dzieci. Któraś z doświadczonych ciotek utrzymywała, że jedno z drugim „nie bardzo się żeni”. Buka oponował i przekonywał. Posmutniał trochę, mówiąc o dzieciach, ale po chwili znów był roześmiany i głośny.

Było bardzo wesoło i zapomnieliśmy zupełnie o Niemcach i niebezpieczeństwie.

Po dłuższym odpoczynku poszliśmy dalej. Buka dowiedział się, jak należy iść, by dojść do jednej z wiosek, gdzie mieszkał jego daleki krewny Kazik. Był on naszym najbliższym celem i u niego obiecywaliśmy sobie wrócić do sił oraz ułożyć plan dalszej wędrówki. Znudziła nas już i zmęczyła ta podróż *per pedes apostolorum*. Marzyliśmy o wygodniejszym sposobie pokonywania przestrzeni. Do Kazika było około 15 klm drogi.

Humory poprawiły się nam bardzo z kilku innych — poza wypoczynkiem i śniadaniem — powodów. Przekonaliśmy się, że ludzie, kręcący się tu i ówdzie, nie patrzą na nas badawczo — czyli, że wyglądamy dość normalnie i możemy ryzykować dalsze posuwanie się za dnia, aby jak najszybciej dotrzeć do Kazika. Poza tym byliśmy już prawie pewni, że nikt tu nie wie jeszcze o wystrzeleniu placówki Grenzschutz'u i że o żadnej obławie nie ma mowy. Pogoda poprawiła się, zaświeciło słońce. Buka zaczął poznawać okolicę. Odetchnąłem. Jesteśmy już prawie w domu. Jeszcze kilka kilometrów i odpoczynek. A potem... Warszawa.

Jednakże Buka zaczął błędzić. Powinniśmy już być na miejscu, według jego kalkulacji, a tymczasem wieś wygląda jakoś inaczej, niż powinna. Stoimy, patrząc na nią z daleka i medytujemy. Po chwili wahania idziemy w jej kierunku. Spotykamy młodego chłopca. Buka wdaje się w rozmowę z nim i dowiaduje się — w mistrzowski naprawdę sposób — wszystkiego, co nam było potrzebne. O kilometr od tej wsi była wioska, w której mieszkał Kazik.

Brnąc po śniegu, podeszliśmy do niej na przełaj przez pola. Znaleźliśmy się na skraju wsi.

Buka stanął i spojrzął na mnie ze zmieszaniem w oczach. Szepnął wahająco:

— Ba, ale jak tu odszukać dom Kazika?

— Jak to? Przecież byłeś tu.

— Raz jeden, w lecie — na rok przed wojną. Domek był w budowie. Teraz śnieg zmienił wszystko, a dom jest już na pewno ukończony. Trudno mi się zorientować.

— Psiakość! — rzekłem markotnie — chodzić od domu do domu i pytać o Kazika? Nie można. Wsypiemy człowieka. Wałęsanie się po wsi musi zwrócić na nas ogólną uwagę. Przejdźmy jeden raz środkiem wsi. Jeśli poznasz dom, wejdziemy. Jeśli nie — trudno — pójdziemy dalej w kierunku Warszawy.

Ruszyliśmy drogą. Buka rozglądał się na wszystkie strony, ale niestety przekonywał się coraz bardziej, że nie potrafi się zorientować. Sytuacja stawała się głupia i denerwująca. Na szczęście śnieg znowu zaczął padać i ludzi na drodze było niewiele.

Od najbliższego, dość małego domku ktoś szedł w naszym kierunku przez pole. Buka postanowił mimo wszystko zapytać o Kazika.

— Poproszę go o ogień — oznajmił mi, wydobywając z kieszeni pudełko *Craven „A”*. Zawsze byłem zły na niego, że miał przy sobie angielskie papierosy, ale on — *chain-smoker* — nie mógł bez papierosów żyć, a „tutejszych” miał zaledwie kilka na wypadek gdyby zaszła potrzeba poczęstowania kogoś.

— Schowaj pudełko — szepnąłem z pasją, kiedyśmy się zbliżali do nieznajomego — już najwyższy czas, abyś się go pozbył naresz...

„Kazik!” — wrzasnął nagle Buka radośnie — „Kazik!” „Uff” — odetchnąłem głęboko, patrząc jak padli sobie w ramiona, ściskając się i całując, wymieniając szybkie pytania i odpowiedzi. — „Szczęście nas jednak nie opuszcza. Spotkanie zupełnie jak w kiepskiej powieści”.

W godzinę potem byliśmy już po obfitym, choć bardzo prostym obiedzie. Zaraz po nim umyliśmy się i — mimo że dzień był jasny — poszliśmy spać... do prawdziwego łóżka. Zapomniałem od razu o wszystkich kłopotach i trudach. Otulony w rozkoszną, ciepłą pierzynę słuchałem trzasku palącego się w otwartym piecu drzewa. Spoza przymkniętych drzwi dochodziły ciche odgłosy rozmowy Kazika z żoną i córką.

Kiedy wieczorem zbudzono nas na kolację, Kazika nie było w domu. Wyjechał już był, jak umówiliśmy się poprzednio, do żony Buki, mieszkającej w jednym z podwarszawskich miasteczek. Miał przywieźć Buce dokumenty i nawet, jeśli byłoby możliwe, sprowadzić żonę.

Oczekiwaliśmy jego powrotu na rano, jeśli mu się w drodze nic złego nie przytrafi.

Zarówno Buka, jak i ja mieliśmy silną gorączkę. Nie mogliśmy jeść, piliśmy natomiast z rozkoszą i bez umiaru. Sen nie dał nam wypoczynku, męczyły nas obu jakieś koszmary.

Wczesnym rankiem zjawił się Kazik z żoną Buki i jej siostrą. Powitaniom i łzom radości nie było końca. Cieszyłem się razem z nimi, myśląc o tym, że może i mnie pozwoli Pan Bóg zetknąć się wkrótce z najdroższymi.

Gołąc się, uświadomiłem sobie, że ostatni raz miałem brzytwę w ręce w swoim mieszkaniu przy... Gloucester Terrace. Brzytwa przepadła, bo była w teczce, w worku—szczęście, że broda ocalała i że mam co golić.

Plan nasz był prosty: za godzinę pójdziemy parami na stację kolejową w Piasecznicy. Buka z żoną, ja z jego szwagierką. Jeśli będzie spokojnie, to jest jeśli „czarni” (czyli kolejowa policja) nie będą się srożyć—wsiądziemy do pociągu i pojedziemy do Warszawy.

Po śniadaniu sami zrobiliśmy sobie rewizję osobistą, zostawiając Kazikowi do schowania pistolety, kompasu, buteleczki z rumu i inne kompromitujące rzeczy.

Trudno mi było rozstać się z bronią. Lubilem czuć ciężar Colt'ów w kieszeniach, bawić się guzikiem bezpiecznika. Wiedziałem, że w ciężkim momencie ten ostatni, mocny argument jest niezawodny. Bez broni czułem się... no, po prostu: bezbronny. Brrr. Byle jaki Niemiec może mnie aresztować, uderzyć, ranić, zabić. Jednakże wytłumaczono mi, że podróż pociągiem może być o wiele bardziej niebezpieczna z bronią, niż bez niej, że koniecznie powinniśmy się pozbyć wszystkiego, co trąci Anglią i w ogóle starać się, aby nie być w większej niezgodzie z niemieckimi przepisami, niż wszyscy inni podróżni. Zachowałem przy sobie jedynie fasolkę z cyjankali, z którą nie rozstawałem się już nigdy — przez cały czas pobytu w Polsce. To była naprawdę ostatnia deska ratunku i dobrze było wiedzieć, jak bardzo jest ona niezawodna. Schwytyany jesteś, badany, boisz się, że wydasz coś lub kogoś — włóż fasolkę w usta i rozgryź: śmierć bezbolesna i prawie tak szybka, jak mgnienie oka.

Po godzinie doszliśmy do stacji. Po drodze pokazano mi dom jakiegoś innego krewnego Buki, czy też jego żony, — Postanowiliśmy, że na wypadek rozproszenia się w ewentualnej ucieczce przed „czarnymi”, zbierzemy się potem w tym właśnie domu.

Stacja otoczona była tłumem „śmuklerów”.

Po kupieniu biletów wyszliśmy na peron. Z ciekawością przyglądałem się wszystkiemu, zdając sobie sprawę z tego, do jak bardzo różnego świata zostałem nagle przeniesiony.

Ludzie wybidzeni, zmarnięci, ale niezwykle ruchliwi i żywi. Sprawiali wszyscy wrażenie nałogowych graczy, czekających na kolejkę przy ruletce. Całe ich życie i praca, to loteria. Nie wiedzą nigdy, czy dojadą szczęśliwie z domu do miejsca, gdzie można coś kupić, czy też nie dojadą. Jeśli nie dojadą, to gdzie się znajdą: na przymusowych robotach w Rzeszy, w obozie w Oświęcimiu, czy po prostu w ziemi. Jeśli dojadą, to czy kupią żywność, czy też jej nie kupią. Czy przyjdą „Bahnschutz'e” zabierając cały dobytek, bijąc kolbami i strzelając, czy nie przyjdą i będzie można czekać na pociąg: czy pociąg przyjedzie, czy też nie. Czy szmugler wytrzyma na mrozie, czekając na niewiadomą godzinę spóźnionego pociągu, czy zmarznie. A może odejdzie od stacji, narażając się na to, że pociąg przyjdzie i odejdzie bez niego. Czy pociąg zatrzyma się, czy też minie stację. Czy, jeśli się zatrzyma, będzie jeszcze można wcisnąć się, czy już nie przyjmą. Jeśli uda się wcisnąć, to czy nie będzie na którejś ze stacji rewizji, albo łapanki, przy której znowu wszystko można stracić z życiem włącznie. Czy w Warszawie, lub na innej stacji gdzie się wysiadzie, żandarmeria i „czarni” nie odbiorą wszystkiego, albo nawet nie aresztują.

Zc zgrozą słuchałem opowiadania mej towarzyszki o życiu tych ludzi, od których zależała egzystencja ludności miejskiej, o ich ustawicznym ocieraniu się o śmierć i niewolę. Mówiła bez patosu, spokojnie, prawie obojętnie, mimo że sama trudniła się często szmuglem i miała przeżycia, ścinające krew w żyłach.

Rozmawiając spokojnie, spacerowaliśmy wzdłuż toru kolejowego. Obie panie uczyły nas bezwiednie, jak się zachowywać w różnych okolicznościach, jak reagować na pojawienie się Niemców, czego się spodziewać. I co najważniejsze, uczyliśmy się przystosowywać do otoczenia.

Pierwsza godzina oczekiwania była zupełnie spokojna. Nie czując w powietrzu żadnego niebezpieczeństwa, zapytałem, czy dzień dzisiejszy nie należy do wyjątkowych. Jedna z pań odparła z bladym uśmiechem:

— O, to się na pewno zacznie niedługo.

— Co?

— Strzelanina, bicie, zabieranie towaru.

Chciałem powiedzieć: „ciekaw jestem, jak to wygląda” — ale się ugryzłem w język. Zacząłem się niepokoić i wcale nie byłem tego ciekaw. W duszy myślałem, że bynajmniej nie jest to pewne, iż dotrzemy cało do Warszawy. Pociąg nie nadchodził — mróz dawał się we znaki. Czekanie męczyło i denerwowało.

Trzy następne godziny były już mocno urozmaicone. Dwa fałszywe alarmy i jeden prawdziwy — zakręcili szmuglerami, jak wichura liśćmi. Tłumy ludzi z tobołkami i workami na plecach uciekały w popłochu przez sad, drogę i pola, kobiety płakały, mężczyźni klęli. Wszystko przewracało się i kotłowało. Wstrząsający widok.

Potem wracali powoli, rozglądając się podejrzliwie dokoła i znowu skupiając się w gromadki, żywo rozmawiając ze sobą i komentując fałszywy alarm. Niektórzy przeklinali rozstawione szeroko czujki, inni sami woleli zająć ich stanowiska.

Trzeci alarm był o tyle prawdziwy, że nadjechał na rowerze jeden „czarny”. Przejechał szybko drogą, patrząc ze złością na tłum ludzi, ale bał się widocznie „urzędować” sam jeden. Dopiero odjechawszy o kilkadziesiąt kroków, strzelił trzykrotnie z pistoletu w naszym kierunku, nie trafiając zresztą nikogo, ale powodując nowy popłoch.

Wszyscy bali się, że sprowadzi on zaraz większy oddział „Bahnschutz’u”, ale na szczęście po kilku minutach ukazał się w dali wyczekiwany pociąg. Rozległy się dwa przeciągłe gwizdy. Dowiedziałem się, że maszynista daje w ten sposób znać, iż w pociągu nie ma „czarnych” i że można spokojnie wsiadać.

Ruch się zrobił, jak w ulu. Tłum dwoił się i troił. Różni nowi ludzie wychodzili z jakichś nor i kryjówek i tłoczyli się na stacyje.

Pociąg stanął. Był przepełniony. Konduktorzy i wszyscy znajdujący się w przedziałach podróżni-szmuglerzy, darli się w niebogłosy, że nie ma już nigdzie miejsca. Zaczęła się walka na słowa i pięści o miejsce w pociągu. Nikt nie chciał zrezygnować, nikt nie chciał zostać.

Załadowali się wszyscy. Ukazanie się na drodze do stacji oddziału Niemców na rowerach przyspieszyło sprawę. Starcia i kłótnie zmieniły się w pomoc, udzielaną jednym przez drugich. Przepełniony pociąg ruszył z miejsca, uciekając sprzed samego nosa „czarnym”, wściekle wygrażającym pięściami maszyniście. Zagrzmiało kilka strzałów karabinowych. Niemcy musieli wyładować swą złość. Ze stopni jednego z wagonów spadło jakieś ciało — jedna ręka dostała się pod koła. Bezręki trup został na peronie. Jakaś kobieta odwróciła się z rozziewającym płaczem od okna, przy którym stałem. Przetarłem ręką oczy.

Udało nam się wcisnąć do przedziału drugiej klasy. „Druga klasa” była oczywiście taką samą udręką, co „trzecia”. Udręką była w ogóle każda podróż.

Ani jednej szyby w oknie — ani jednej całej lampy. Pozdzierane pluszowe siedzenia, oderwane zasłony, pasy, nawet niektóre tabliczki powykęcane.

O dociśnięciu się do ubikacji nie ma mowy. Na nic się to zresztą nie przyda, bo w niej przecież jedzie kilka osób. Prócz tego zawalona jest workami. O dostęp do niej walczy się szczególnie agresywnie, bo jazda tam wygodniejsza i sprawa wrażenie bezpieczniejszej. Można się zamknąć, nie wpuścić nikogo obcego, łatwiej uciec w razie łapanki.

Trzeba jechać tak, jak się da. Mimo, że duszeni ze wszystkich stron, jesteśmy szczęśliwi, bo nie musimy wisieć na stopniach ani na oknach po

zewnątrznej stronie wagonu. Właśnie w następnej separatce wisi człowiek na oknie. Krzyczy, że mu ręce marzną i że za chwilę spadnie. Sąsiedzi chcą pomóc, ale straszny tłok przeszkadza im w tym. W napięciu płyną chwile. Wreszcie zrobiono cudem jeszcze jedno miejsce — wiszącego wciągnięto do przedziału. Kopnął kogoś niechcący w nos i spowodował silny krwotok.

Pociąg jedzie powoli. Staje na każdej stacji i na każdej wciska się nowa chmara szmuglerów. Jak to się dzieje? — Nie wiem. Zdaje mi się, że już nikt więcej do naszej separatki nie zdoła się wcisnąć, a tymczasem ciągle ktoś przybywa, tłok jest coraz potworniejszy.

Na stacji Błonie — nie wsiadł nikt. Stojąc bliżej okna widziałem „akcję” „czarnych”. Rozpędzili cały tłum, skonfiskowali mnóstwo towaru, strzelili kilkanaście razy i prali pałkami gumowymi i kolbami gdzie popadło. Na torach i obok torów leżało kilka trupów — jeden męski, reszta kobiece.

Denerwowaliśmy się, dlaczego pociąg nie rusza. „Czarni” mogą dotrzeć zaraz i do nas.

Dali jednak za wygraną. Obłowili się i tak bardzo dobrze — i nie mieli już widocznie sił, ani ochoty na rozpoczynanie walki z całym przepelnionym pociągiem.

We Włochach zrobiło się trochę luźniej. Wiele osób wysiadło, licząc na dostanie się do Warszawy kolejką podmiejską — bez ryzykowania rewizji i obławy na głównym dworcu w Warszawie.

Wysiadł też Buka z żoną. Uradziliśmy bowiem w czasie podróży, że nie powinniśmy ani razem jechać do Warszawy, ani tym bardziej razem iść „na adresy kontaktowe”, które nam dano w Londynie. Z wdzięcznością przyjąłem propozycję drugiej pani towarzyszenia mi do Warszawy. Bałem się udawać sam jeden do dużego, niezbyt dobrze znanego miasta. Obawiałem się, że na dworcu mogą sprawdzać dokumenty i badać wygląd zewnętrzny podróżnych w poszukiwaniu za „sprawcami mordu” na żołnierzach straży granicznej. Pozostali przy życiu Niemcy mogli przecież opisać nas szczegółowo. Skaleczoną rękę, która nie mogła ujść ich uwagi, wsunę pod ramię pani Genowefy.

Do przedziału zaczęli się wciskać nowi ludzie. A więc naprzód konduktor, wesóły „Warszawista”, biorący łapówki na prawo i na lewo i szacujący na oko według wziętego towaru, ile mu się należy kieszonkowego. Z wesołą, choć dość wyraźną złością patrzył na nas dwoje, którzyśmy nie wieźli żadnych tobołów, ani worków, a gdy się jeszcze przekonał, że mamy bilety, zaczął nas serio pouczać, że to się nie godzi, że konduktor także musi żyć, że zabieramy mu miejsce przeznaczone dla szmuglerów.

Niepodobieństwem było przerwać jego tyradę. Znudzony i zaniepokojony tym kazaniem kilka razy próbowałem wskoczyć w przerwę między zdaniem, ale nie mogłem jej nigdy uchwycić w odpowiednim czasie. Wreszcie, kiedy konduktor rzekł: „Szanowny pan na nowoczesnych manierach podróżnych w Gie-gie się nie rozumiesz, czy jak? I wedle tego wsiadasz z szwabskim biletem, ażeby polski kolejarz nie mógł nic utargować?”... — wsadziłem mu szybko w rękę banknot dziesięciozłotowy.

Uspokoił się natychmiast. Uśmiechnął się od ucha do ucha, zsalutował do podniszczonej czapki kolejańskiej i odszedł. Zapytałem wtedy z cicha.

— Pani Genowefo, co to jest Gie-gie?

— Gie-gie? — ach, to nasz skrót na Generalne Gubernatorstwo. Czasem to się jeszcze gorzej mówi. Na przyszłość w podobnej sytuacji niech pan nie daje więcej niż pięć złotych. Tacy, którzy nie mają towaru, dają normalnie dwa do pięciu złotych.

Do przedziału wdarł się młody chłopiec, sprzedający papierosy: „Sporty”, „Junaki”, „Mewa”, „Kluby”, „Egipskie”.

Potem znowu jeszcze mniejszy chłopiec ofiarowywał „najlepsze cukierki Wedla i Fuchsa”.

Różni przekupnie kręcili się po pociągu, dokonując cudów zręczności w przechodzeniu z wagonu do wagonu i w przeciskaniu się pomiędzy ludźmi i tobołami, ofiarowując podróżnym zapalki, karmelki, gazety.

Największe jednak wrażenie zrobił na mnie kilkunastoletni chłopiec z suchotniczym wyrazem twarzy i dyskusja jaką wywołał. Na głowie miał zieloną rogatywkę harcerską. Piskliwym głosem śpiewał:

„Zawodzą dzwony w kościele,
zawodzą smętnie od rana,
harcerze już pochowali
krechowieckiego ułana...”

— Sam zawodzisz, pętaku jeden, tam i nazad w srebrną leliję zapinany, a nie żadne dzwony. Uszy bolą... — denerwowała się jakaś babina.

— Zostaw go, panusia, niech coś zarobi — odrzekł stojący przy mnie starszy jegomość.

— O wiele mnie ucho nie myli — wtrącił ktoś flegmatycznie — w tej danej piosence stało napisane: „żołnierze już pochowali” — a nie żadne „harcerze”. Oni wszystko przekręcą na swoje, szczeniaki.

Niespodziewanie rozgorzała dyskusja na temat harcerzy. Jedni byli pro, inni contra. Chciałem wziąć w niej udział, ale rozważna p. Genowefa powstrzymała mnie od tego, utrzymując, że mam trochę lwowski akcent, który może zwrócić na mnie uwagę. Z radością przekonałem się, że w dyskusji wygrywa młoda panienka, stojąca wysoko na worku z ziemniakami. Mówiła długo, gorąco i bardzo odważnie, może nawet nieostrożnie, twierdząc na zakończenie, że harcerswo wychowuje młodzież, którą Niemcy chcą zdemoralizować. Pokonana przekupka wykrzyknęła jeszcze:

„Chleba nam potrzeba, a nie wychowania...” — ale przerwał jej flegmatyczny głos: „Panusia! nie samym chlebem żyje człowiek, jak mówili święci. Wychowania trzeba także samo. Ja nie mogę się skarżyć, chłopaki są dobre, tylko podpadają mi wedle tego przekręcenia piosenek”.

Tymczasem chłopiec, obojętny na wszystko, zebrał w rogatywkę trochę brudnych pieniędzy i ulotnił się.

W takich warunkach minuty leciały szybko i ani się nie oglądając, jak przez okno ujrzałem duży napis: „*Warschau — Hpt. Babnhof*”.

Wysiedliśmy. Szeroko otwartymi oczyma przypatrywałem się wszystkiemu, z trudem oswajając się z „polsko-niemiecką rzeczywistością”.

Na dworcu w Warszawie działy się sceny niesamowite. Okropny nieustający krzyk, rewizje „czarnych”, połączone z biciem, wrzaskiem, kłatwami, płaczem i ucieczką tłumów. Fala ludzi, dążących do wyjścia niosła nas z sobą, przepłynęła koło grupy żandarmów, prawie bezsilnych wobec tłumów i działających energiczniej tylko wtedy, gdy zauważyli jakieś większe paczki, czy toboły. Rzucali się wtedy w tłum, bijąc na wszystkie strony i dopadając swej ofiary. Odbierali worki i pakunki i odnosili na osobne, dobrze pilnowane miejsce, nie mogąc już zatrzymać szmuglera.

Straszne wrażenie sprawiali ci żandarmi i „czarni”. Spoceni, czerwoni, dyszący ciężko i ustawicznie wrzeszczący, kręcili się w tłumie jak szatany. Ludzie cofali się przed nimi, roztępowali się, cisnąc się, tłocząc i uciekając.

W końcu znaleźliśmy się na ulicy. „Ciężkie było przejście” — odetchnąłem głęboko, znalazłszy się w Alejach Jerozolimskich. Pani Genowefa odparła:

„Niestety, zawsze jest tu podobnie. Zawsze takie piekło. Z wyjątkiem momentów „łapanek”, bo wtedy już się cały świat wywraca do góry nogami i piekło potęguje się. Może być tylko gorzej — lepiej nigdy”.

Za chwilę przeżyłem nową emocję, która kazała mi zapomnieć o bolącej ręce, urażonej w tłoku nieskończoną ilość razy. Przechodząc obok kilku pucybutów, zauważyłem nagle, że dużo ludzi, cywilów i żołnierzy biegnie w kierunku skrzyżowania z ul. Marszałkowską.

Sądząc, że to „łapanka”, obserwowałem uważnie i trwożnie ulice. Po chwili z ulgą stwierdziłem, że cały ten ruch spowodowany był przez tramwaje. Ludzie biegli do przystanków, cisnąc się „na siłę” do wypełnionych wozów.

Uderzyła mnie ogromna ilość mundurów wszelkiego rodzaju. Wszędzie pełno wojska i kilkanaście gatunków policji. Wszędzie inne mundury, kolory, kroje, czapki.

Idziemy w lewo, w kierunku ghetta. Widzę mur i bramę. Policjant żydowski (w cywilnym ubraniu i w czapce niebiesko-granatowej), policjant polski, żandarm niemiecki. Tłumy Żydów z opaskami. Pod murem trup dziecka. Dalej drugi. Kilkoro małych, straszliwie wychudzonych Żydziąt w łachmanach zebrze przeraźliwie cienkimi głoskami. Wstrząsający widok! Niezrozumiały w swej koszmarności.

Dochodzimy wreszcie do podanej ulicy. Proszę p. Genowefę, by zaczęła na mnie przy skrzyżowaniu — idę sam dalej, szukając numeru domu.

Serce mi bije, gdy wchodzę na schody. Czy jest w domu? Czy mnie przyjmie? Czy hasło i odzew są jeszcze aktualne?

Dzwonię. Drzwi otwiera starsza pani (zamiast młodej). Mówię hasło. Odpowiada nieprzepisowo. Powtarzam jeszcze raz. Nic. Pytam wprost o pseudonim podanej mi w Londynie osoby.

— Ach, panu pewnie chodzi o Marysię — ożywiła się na chwilę kobieta. Prawie natychmiast spochmurniała i, jakby mając żal do siebie za poprzednie słowa, rzekła sucho.

— Nie ma jej.

— Gdzie jest?

— Nie wiem. Nic nie wiem.

— Przecież mieszkała tutaj.

— Tak — ale jej nie ma. Wyjechała gdzieś na wieś. Nic więcej nie wiem.

Czuje, że kobieta mi nie chce nic powiedzieć, że się boi. Nic tu po mnie. Zawiedziony okropnie, żegnaj ją i schodzę powoli na dół. (Później dowiedziałem się, że adresatka została przed kilku tygodniami aresztowana i że znajdowała się na Pawiaku).

Idziemy „na drugi kontakt”. Przyjmuje mnie jakiś dość młody pan, zamiast starszej pani. Hasła nie rozumie. Pytam wprost o Marię. Okazuje się, że jest chora i że będzie w tym lokalu dopiero za kilka dni. Gdzie mieszka, nie wiadomo.

Zaczynam się już poważnie denerwować. Zły jestem i przestraszony. Może się okazać, że i trzeci adres jest nieaktualny — i co wtedy? O dostaniu się do Delegata Rządu nie będzie nawet mowy. Na przypadek w tej dziedzinie konspiracji nie można liczyć.

Uczucia nadziei i rozpachy miały mną na przemian, gdy szliśmy w milczeniu na trzeci i ostatni adres. Ból ręki, zimno, coraz bardziej odzywający się głód nie poprawiały mego humoru. Niemiecka orkiestra wojskowa z oddziałem małych bębenków i fletów-piccolo i świetnie maszerujący doborowy pułk SS-ów na placu Trzech Krzyży rozżłościły mnie do reszty. Z lękiem w sercu wchodziłem do bramy kamienicy, w której miała mieszkać trzecia i ostatnia łączniczka. Nie znalazłszy jej nazwiska w spisie lokatorów i nie wiedząc, na którym piętrze mieszka, zdecydowałem się zapytać o nią stróża.

Tęgi, średniego wzrostu mężczyzna przyglądał mi się badawczo. Odpowiedział mi po chwili, że p. X. od kilku tygodni już tu nie mieszka.

— A czy nie wie pan przypadkiem, dokąd się wyprowadziła.

— Nie wiem, ale niech pan tu zaczeka, ja się zaraz dowiem.

Odruchowo zgodziłem się na to, myśląc, że to przecież ostatnia moja deska ratunku, że nie mogę stąd odejść z niczym. Ale gdy zauważyłem, że stróż idzie w kierunku wyjścia, a nie w głąb kamienicy — uczułem zaniepokojenie. Może to konfident gestapowski?

Poszedłem za nim i zauważyłem, że wszedł do małego sklepiku — tuż obok czekającej tam p. Genowefy. Poprosiłem ją, aby zerknęła przez drzwi, co on tam robi.

— Telefonuje!

— No, to chodźmy. Także i tej osoby już tu nie ma.

Skręciliśmy w pierwszą boczną uliczkę. Trząsałem się cały z wrażenia. Pewny byłem, że dozo:ca dzwonił do Gestapo, a nie po to, by dowiedzieć się o adres ex-lokatorki.

Po chwili uspokoiłem się. Nie chciałem okazać niepokoju — ja, który w oczach p. Genowefy uchodziłem za bohatera.

Sytuacja moja stawała się nieznośna. Co teraz robić ze sobą?

Po chwili zastanowienia wróciłem pod adres Nr. 2 i na szczęście zastałem tam jeszcze mego poprzedniego rozmówcę. Poprosiłem go o doręczenie Marii kartki. Na kartce, prosząc Marię o spotkanie, umieściłem w treści pierwsze zdanie hasła i podałem czas i miejsce, gdzie będę oczekiwał wiadomości od niej. Na spotkanie mogłem liczyć najwcześniej za 5 dni. Było to bardzo niebezpieczne pociągnięcie, ale nie miałem innego wyjścia.

Z radością przyjąłem zaproszenie p. Genowefy, aby zanocować w domu jej rodziców, tym bardziej, że chciałem się poradzić z Buką nad smutną sytuacją.

Buka przyszedł do domu dopiero wieczorem. Z tajemniczą miną zapytał mnie, czy szukałem kontaktów.

— Tak.

— No i co?

— No i nic. Nikogo nie ma. Może spotkam w poniedziałek Marię ale nie jestem tego pewny. A ty, czy znalazłeś także?

— Tak, byłem w dwu miejscach — oczywiście nikogo nie zastałem. Na trzeci adres już nie poszedłem, bo spotkałem na ulicy towarzyszkę z partii, która — wyobraź sobie — ułatwi nam spotkanie wprost z Delegatem już pojutrze.

Radość moja nie miała granic. Był to chyba najszczęśliwszy w moim życiu wieczór sylwestrowy. Długo w noc rozmawialiśmy przy zapalonych choince, śpiewając kolendy i słuchając patefonu. Kładłem płytę jedną po drugiej, same polskie, same polskie. Rozumiałem każde słowo śpiewanego tanga czy kujawiaka. Na ścianie wisiał polski obraz, na półce stały książki, na których oprawionych grzbietach złożyły się nazwiska polskich pisarzy i polskie tytuły. Boże! — myślałem sobie — czy zdajecie sobie sprawę, wy, tam w Anglii pozostali, jak bardzo jestem szczęśliwy, jak pławię się w polskości. Czy rozumiecie? Każdym nerwem, każdym błyskiem oczu, każdą myślą kocham to, co mnie otacza: polskie obrazy, książki, płyty, ludzi, z którymi teraz rozmawiam i srebrzyste wzory na zamarznętym oknie, piękniejsze od tych, które wdzięczny Chochlik Disney'a rysował na kolorowym ekranie. Szybko, ukradkiem otarłem łzę, druga spłynęła zdradliwie z pochylonej nad patefonem twarzy na wirującą płytę.

Tak skończył się dla mnie czwarty dzień pobytu na ojczystej ziemi, czwarty dzień wielkiej przygody, która miała trwać równo półtora roku.

* * *

Z całej naszej ekipy desantowej mogę zasługiwać na miano „szczęściarza”. Bo udało mi się nie tylko wypełnić powierzone przez Rząd zadanie — ale również wrócić cało i względnie zdrowo. Od czasu lądowania ze spadochronem na polskiej ziemi do czasu lądowania samolotu pasażerskiego, którym przyleciałem z Gibraltaru przez Lizbonę do Bristolu w Anglii, przeszedłem dużo i nie mogę narzekać na brak wrażeń.

Widziałem okropności niemieckiego terroru. Dwa razy cudem uniknąłem „łapanek”. Kilka razy otarłem się o włos o Gestapo i dwa razy

byłem nielegalnie w strasznym ghecie warszawskim. Widziałem Polaków powieszonych publicznie przez Niemców, widziałem jak niemiecki żandarm zabił uderzeniem kastetu i kopaniem w brzuch starą kobietę polską, która ośmieliła się prosić go o zwrot zabranych 10 kg. ziemniaków; widziałem Niemców strzelających do przechodniów jak do kaczek i rozbijających głowy dzieci żydowskich o mur ghetta. Widziałem jak młoda Żydówka rzuciła się z dwojgiem małych dzieci na rękach z okna trzeciego piętra „rewidowanego” przez Niemców domu i jak młody SS-man strzelił do niej w czasie kiedy spadała na ziemię—ot tak, dla zabawy, bo i tak wiadomo było, że z trzech ciał ludzkich zostaną po zetknięciu się z ziemią tylko krwawe strzępy.

Widziałem cudowną postawę i solidarność narodu polskiego a zwłaszcza jego młodzieży i brałem udział w stawiającej pierwsze poważne kroki polskiej konspiracji i walce podziemnej z Niemcami. Obserwowałem rodzącą się Armię Krajową i rozwijającą swą pracę Delegaturę Rządu. Nie zapomnę nigdy tych kilku miesięcy spędzonych rzekomo w t.zw. Generalnej Gubernii a w rzeczywistości w Podziemnej Polsce.

Po opuszczeniu Polski przekroczyć musiałem nielegalnie kilkanaście granic, siedziałem w trzech różnych więzieniach; poznałem obóz koncentracyjny w Mirandzie de Ebro. Strzelano do mnie z bliska dwukrotnie, z daleka trzykrotnie. Raz o mało nie zginąłem w Pirenejach francuskich z powodu utraty tchu w „tourbillon de neige”. Innym razem o mało nie spadłem w przepaść w Andorze. Podróż odbywałem: na piechotę, samochodem, pociągiem, rowerem, na nartach i na rakietach śnieżnych. Byłem niemieckim urzędnikiem, ukraińskim robotnikiem, polskim studentem w Budapeszcie, węgierskim księdzem, synem polskiego ministra, szwajcarskim kwakrem, francuskim maszynistą kolejowym, zestrzelonym nad Francją szkockim lotnikiem i wreszcie — Markiem Celtem — prawie samym sobą. Używałem kilkunastu nazwisk i mówiłem kilkoma językami, mimo, że poza polskim dobrze znam tylko jeden. „Zwiedziłem” Polskę, Słowację, Węgry, Chorwację, część Południowych Niemiec, Północne Włochy, Szwajcarię, Południową Francję, Andorę, Hiszpanię, Gibraltar i Portugalię. Widziałem matkę w Polsce, narzeczoną na Węgrzech, brata w więzieniu niemieckim we Francji. A po przyjeździe do Londynu zastałem w nim drugiego brata, który uciekł z Francji i siostrę, która po strasznych dwóch latach spędzonych na Syberii i po pochowaniu w Bucharze zmarłej na zarazę córeczki, zdołała z drugą córką dotrzeć do Londynu do swego męża a mego szwagra. Czułem się dość szczęśliwy, zwłaszcza kiedy dowiedziałem się, że brat uciekł z więzienia we Francji a trzeci brat-lotnik zestrzelony nad Francją i „missing” przebywa w niewoli niemieckiej i jest zdrow i cały.

Nie wszyscy jednak moi koledzy z desantu mieli równe mojemu szczęście.

Krótkie i tragiczne były losy Mariana i Effendiego po ich rozstaniu się z nami. Natychmiast po naszym odejściu poszli z lasu w kierunku odgłosów rąbania drzewa i szczekania psa. Las się wkrótce skończył. Zobaczyli wieś. Pierwszą chatą, na jaką się natknęli była karczma, a pierwszym człowiekiem żołnierz niemiecki, stojący obok niej.

Wyczerpani i przedenerwowani, widocznie nie mogąc już nad sobą zapanować, Marian i Effendi nierozważnie zastrzelili Niemca. Z karczmy wypadło kilku żołnierzy. Wszczęła się walka. Jakie były straty ze strony niemieckiej — nie wiem. Jeden z naszych (także nie wiem który) został ciężko ranny. Drugi go dobił i sam się zastrzelił. Tak zginęli Marian i Effendi. Polska straciła dwu dzielnych i wartościowych ludzi; ja — dwóch przyjaciół.

Niemcy odarli ich trupy, zabierając ze sobą wszystko, co przy nich znaleźli dla zbadania i rozkradnięcia. Dwa nagie trupy pochowali — zmuszeni do tego — miejscowi chłopci.

Przygody Macieja i Doktora po rozdzieleniu się naszego „koncertowego kwartetu” na dwa duety — były podobne do przygód Buki i moich.

Po ciężkim marszu dotarli do Warszawy w dzień, albo dwa po nas. Odszukali po drodze swój kontakt. Maciej — ranny, jak wiadomo, w rękę — leczył się przez dłuższy czas w jakimś ukryciu. W ukryciu także przebywał długo Doktor. Macieja nie widziałem podczas mego pobytu w Polsce ani razu. Podczas drugiego pobytu w Kraju słyszałem o nim jako o wzorze oficera Armii Krajowej. Czy żyje? — nie wiem. Doktora widziałem raz w tramwaju. Uśmiechnęliśmy się tylko do siebie z daleka. W dwa lata później doniesiono mi, że zginął w jednej z walk Armii Krajowej z Niemcami.

A Buka?

Przez sześć miesięcy byłem z nim w stałym kontakcie. Potem, kiedy już opuściłem Polskę, udając się w drogę powrotną do Londynu, Buka został aresztowany przez Gestapo i po krótkim pobycie na Pawiaku, wywieziony do Berlina. Od tego czasu nie ma o nim wiadomości. Nie mam nadziei, ażeby żył.

Takie są dzieje naszej szóstki „*Jacket*”.

Dodać do nich warto jeszcze kilka słów wyjaśnienia, jak zakończyła się afera „koncertowa” i jak zachowali się wtedy Niemcy.

Badania przeprowadzone na miejscu przez naszych wysłanników ustaliły, że Niemcy w czasie zajścia w strażnicy byli tak zaskoczeni i tak bardzo obawiali się, że jest to preludium do ogólnopolskiego powstania, iż nie tylko nie stawiali nam oporu (a mogli nas byli przecież wystrzelać w polu jak kuropatwy), ale nawet — sparaliżowani strachem — nie rozpoczęli w tym dniu żadnego pościgu. Akcja ich zaczęła się dopiero 28-go grudnia wieczorem, albo 29-go grudnia rano. Wyekspediowali patrole pościgowe, rozesłali po wsiach swych tajnych agentów-obszerników, zawiadomili wszystkie posterunki, rozlepili we wszystkich miejscowościach powiatów łowickiego, sochaczewskiego i skierniewickiego afisze gończe w języku niemieckim i polskim i wreszcie wzięli z okolicy Kiernozi — przez którą biegła trasa naszej ucieczki — 30 zakładników-chłopów, zawiadamiając, że wszyscy oni zostaną rozstrzelani, jeśli „zbrodniarze” nie odnajdą się. Afisze określały nas słowami: „Czterej nieprzyjacielscy spadochroniarze” — mówiły o zamordowaniu przez nas „trzech urzędników straży celnej” i ranieniu kilku innych — podawały kierunek naszej ucieczki i bardzo zły opis postaci, zabraniając udzielać nam pomocy i nakazując miejscowej ludności wydanie nas w ręce „sprawiedliwości”.

Oryginał takiego afisza udało mi się z pomocą pewnej dzielnej dziewczyny zdjąć z drzwi domu sołtysa w jednej z wsi powiatu łowickiego, gdy wybrałam się na wyprawę po nasze zakopane w śniegu „złote runo”.

Plakatami i pościgiem niemieckim nie przejeśliśmy się zbytnio — bo w Warszawie „szukaj wiatru w polu” — zmartwiliśmy się natomiast ogromnie wzięciem zakładników, gdyż każdy z nas zdawał sobie sprawę z tego, że nie może zgłosić się dobrowolnie do Niemców, nawet jeśliby uwolnił swym czynem zakładników, co było zresztą problematyczne. W Kraju pouczono nas, że takie są już niepisane prawa życia podziemnego, iż zakładnicy giną, a nieznani „winowajcy” nie zgłaszają się. Inaczej praca podziemna musiałaby się skończyć, albo nawet nie mogłaby się była zacząć. Między zakładnikami byli podobno obaj gospodarze, których końmi uciekaliśmy.

Po kilku dniach duży kamień spadł mi z serca. Sami Niemcy zakończyli moje wyrzuty sumienia. Chcąc widocznie ratować swój prestiż gestapowski, w trzy tygodnie po „koncercie”, ogłosili, że wszystkich czterech spadochroniarzy-morderców ujęli żywcem w Skierniewicach i... powiesili. Sprawiedliwości stało się zadość!

Nie to jest jednak ważne, że nas „uśmiercono” w tak podły sposób — ale to, że konsekwentnie do swego stanowiska Niemcy wypuścili z aresztu wszystkich trzdziestu zakładników polskich.

„LEGENDA FERREA“

na skostniałych płatach mózgowych
przekrwionej wyobraźni

[makabrycznego kaina
cztero-motorowy duch boży
nad zaminowanymi unosi się

[wodami

w wysychającym kulistym

[akwarium

mnożą się arytmetycznie
słone ryby
przez tarcie śliskich elektroskopów

z jąder ziemi
żywiczny sączy się sok
i w drzewa zastyga
w pierwotną dwupłciowość
malowanych totemów

chrupie paproć drzewiasta
na żarnach szczęk
skocznych jaszczurów z węglowych
[trzęsawisk

piorunem dębowym huczy
kosmaty smok w iglastej katedrze
i wszelka twarz poła blednie
na skalnych witrażach

ludziom
mieszkanie gotowe
wody chińskim parawanem
oddzielone od wód
latarnie niebieskie
oblepione babim latem mgławic

w noc nieuniknionego poczęcia
łzawych dzieci
sterczącego adama
i prząsnej ewy w gliniastym
[oprzędzie

suche liście figowe
miłośnie wydeły brudny siennik

nadgryzione jabłka
przekrojone ostrzem gniewliwym
usidlily krzyżowego mesjasza
w pestkach niestrawnych

w olśnieniu słodkiej wizji
łepkich snów
brązową wypiekli ikonę
ludzie krzemieni
i na zawsze

z pierzastych wygnali mnie ścian
za to
że nie biłem z nimi w unizony gong
mosiężnych pokłonów

abraham dymiący nóż
do mojej grdyki
koszernie przymilał

mojżesz
pod groźbą strzelistych celników
przemyczał mnie w lasce cudownej
przez pustynię
bez celu
bo ziemi nikt mu nie obiecał

spod filistyńskich nożyc
opadały mi samsonowe pukle
— na osiodłanym kozle
ofiarnie pędziłem do szturmu na
[jerycho

z trąbą bez amunicji
w oszukanych dłoniach

w ciemnościach egipskich
grzejąc grzbiet w popiele
kocimi wargami
wykładałem groźne sny
putyfarowym żonom

nad ranem
budziło mnie pożądanie
krów tłustych z faraonowych
[spichlerzy

na górze synaj
wygryzałem szczurzy dekalog
aby mnie nie pochłonęły
gorejące ściany zapalczywego
[morza

powstanie śpiewałem
w rozżarzonym piecu hutniczym
ostatnią zwiastując wieczerzę
obleśnym baltazarom

maskowałem swój grób
przed wniebowstąpieniem
abym mógł jeszcze powrócić
do obłąkanych stad

magdaleni mariowie
do poświęcanej wtrącili mnie stągwi
i obwołali tabu

zadżumione miasta
uciekały ode mnie w popłochu

dla ślepych światowidów
i marzan opończoszonych
[jedwabnie
budowałem rymowane osady na
[palach

później
do mydlanej fabryki
związków przyczynowych
kipiących w bolesnych roztworach
potasu i ługu
po ciepki chodziłem zarobek

czterdzieści i dni i nocy
przebijałem się sam
przez zawalony korytarz
teleologicznej kopalni
by wreszcie dotrzeć
do słonecznego zaułka

pustych niedzielnych rozmyślań

latająca bomba
nabrzmiała próżnią wiekuiłą
hydraulicznej ciemni
krąży po jasnym niebie

w cieniu rzęs
łaskawy kot drzemie na słońcu
a my na ziemi
smażymy w kuchni ubogiej
sześć dni pracowitych
na świątecznej patelni
w oczekiwaniu jeźdźca
gniady rower
rży u wrót niedzielnej gospody

w czas niespokojny
ruszając na wieś
odłamkami żelaznej legendy
staroświecki ładują pistolet

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

NOTATKI RZYMSKIE

I. VIA APPIA ANTICA

Brzydka ale ładnie się śmiejąca kobieta z małą dziewczynką idą do Rzymu. Kobieta ma czarny szal na głowie i wykrzywione pantofle o wysokich obcasach na nogach, dziewczynka białą kokardę we włosach i na nogach dziecinne trepy. Idą przez via Appia Antica omurowaną ze wszystkich stron, wyłożoną kamieniem, umocnioną na wieczne czasy, wylaną cementem. Mija je dwukołowy wózek zaprzężony w czarnego i brudnego osła, potem białe auto z nabiątem, potem autobus wypełniony miejscowymi ludźmi.

„Come state Maria?” pytają ludzie pozdrawiając kobietę.

„Non c'è male” odpowiada na to Maria. Śmieje się do swego dziecka i do pozdrawiających ją ludzi, mijając mnie uśmiechnęła się także i do mnie.

„Pan do Rzymu idzie?” spytała.

„Tak, do Rzymu” odpowiedziałem, a ona na to:

„Ja także. Razem jest weselej”.

Szła kawałek drogi ze mną, zatrzymała się jednak zaraz bo oto z lewej strony jest podmiejska szkoła początkowa w starych zabudowaniach. Dzieci idą do niej a obok w warzywnym ogrodzie pracują mężczyźni i kobiety. Grzebią się w ziemi czarnej i sypkiej, od tyłu już lat przewracanej motykami, okopują warzywa, rozmawiają z Marią, głos ich niesiony wiatrem słychać z daleka.

„Pane” mówią „vino, Dio, terra, vento, pioggia”.

I słowa te oznaczają po prostu chleb, wino, Boga, ziemię, wiatr i deszcz. Ludzie patrzą w górę na niebo którym przelatuje samolot i patrzą na jaskółki wzbijające się wysoko.

„Czas będzie piękny” konstatuje Maria.

„Tak, czas będzie bardzo piękny” potwierdzają ludzie potem Maria, na pytanie przechodnia o drogę, mówi wesoło:

„Prosto droga prowadzi do Rzymu”. Dodaje do tego przysłowie, właśnie to najbardziej wszystkim znane, że do Rzymu prowadzą wszystkie drogi.

Ale na to podróżny odpowiada innym przysłowiem by usprawiedliwić swe pytanie:

„Pytając najlepiej trafia się do Rzymu” mówi.

„A skąd idziecie?” pyta go Maria.

„Z Roccasecca ale przez Avezzano” odpowiada podróżny i z odpowiedzi jego widać że nie tylko z tej Roccasecca idzie, ale, że krąży po świecie tu i ówdzie nakładając drogi.

Jak zawsze na drodze tak i tutaj ludzie łatwo ze sobą mówią i łatwo się ze sobą zaprzyjaźniają.

„Ja jestem wdowa” powiada o sobie Maria. „Nazywam się Maria Semprini a to jest moja córka Giulietta. Ma pięć lat”.

„Tak” mruknął na to podróżny. Pomilczał chwilę jakby się namyślając potem przedstawiając się powiedział z zawstydzeniem nazwisko które dawniej dawano dzieciom nielegalnego pochodzenia:

„A ja nazywam się Antonio *Esposito*. Młynarz jestem”.

I jakby nie wierząc czy mu uwierzą w jego zawód pokazał na dowód rękę. Młynarzem był rzeczywiście. Ale Maria Semprini wolała sprawdzić dokładnie. Popatrzyła na jego rękę, wzięła na chwilę w swoje i spróbowała palcami odcisków. Wreszcie powiedziała:

„To prawda, że młynarz jesteś Antonio. Ale nie pracowałeś już dawno”.

„A tak” odpowiedział Antonio jeszcze raz zawstydzony. Jak poprzednio chwilę pomilczał, trochę się namyślił i wreszcie wyjaśnił powód swego bezrobocia pokazując przy tym na piersi:

„Tu mnie zgniotło. Dwa kamienie młyńskie na raz to trochę za dużo jak na jednego Antonio Esposito który nigdy nie był silny”.

Starorzymskie grobowce stoją dwoma rzędami przy drodze jak sztyd-wachy. Antonio i Maria usiedli u stóp jednego z nich, przy tym wielkim, przy którym zatrzymuje się miejski autobus. Antonio odpiął z agrafki kieszeń i z kieszeni wyjął paczkę swych dokumentów owiązaną sznurkiem i zawiniętą w ceratę.

„O tutaj wszystko pisze” powiedział pokazując jeden urzędowy papierek.

Maria wzięła ten dokument do ręki, przeczytała uważnie, potem podniósłszy nad niego oczy popatrzyła zamyślona przed siebie, na chłopca i dziewczynę którzy obejmując się weszli do grobowca. Potem popatrzyła na Antonia Esposito i powiedziała bardzo życzliwie:

„Więc jakże to Antonio? Ty nigdy nie byłeś żonaty?”

Ta rzecz, jak się okazywało, najbardziej ją zainteresowała.

„Nie” odpowiedział Antonio.

„Ale kochankę masz chyba?”

„Nie” odpowiedział i teraz Antonio. Na to brzydka Maria Semprini roześmiała się tak samo ładnie jak poprzednio i powiedziała:

„A ja jestem wdowa mój drogi Antonio”.

Ponad tymi dwójgiem wyrasta z kamiennych fundamentów grobowiec, rzecz biała i okrągła, opatrzona tablicą z imieniem Cecylii.

„Tej męczennicy chrześcijańskiej duszonej parą we własnej łazience i po bezskutecznych próbach uduszenia ściętej trzykrotnym uderzeniem miecza” powiedział nie bardzo wiedząc co mówi młody ksiądz przypro-wadziwszy tam wycieczkę kobiet z religijnego stowarzyszenia.

Z wewnątrz grobowiec wygląda smutnie, jak studnia o kilku-metrowej średnicy. Na jej dnie leży kilka liści nawianych wiatrem.

Trochę weselej jest w ruinach małego pałacyku jakby przymurowanego do studni, mówię „jakby” bo to studnię przymurowano kiedyś do niego. Także i nad nim nie ma dachu, w murach otwory po oknach i drzwiach.

W ściany naokoło wmurowano drobne wykopaliska znalezione w tym miejscu, pod ścianami ustawiono większe. Tors wilczycy karmiącej dwoje ludzkich dzieci stoi pod ścianą, obok leży kilka palców czyjejs dawnej i bardzo spokojnej ręki kamiennej, rośnie tu mortella i pungi topo co się tłumaczy na psiankę, na mury pnie się edera, pod nią ustawiono zachowane w całości przykrycie od grobu Seneki z całą historią jego życia w której bierze udział szesnaście osób, dwa psy i dwie misy trzymane przez ludzi.

Smutno tam i zimno. Ale wokół ruin ciągną się wesołe i przez rzeczywiście południowe słońce oświetlone pola warzywne poprzecinane resztkami murów. Dziewczęta przy publicznej studni piorą różnokolorową bieliznę, i pod drzewami, koło Antonia i Marii bawią się dzieci. Koło robią. To Margherita, to inna po rzymsku się nazywająca Flavia wychodzą na zewnątrz koła, podnoszą do góry ręce i poruszając nimi w powietrzu pokazują jak to odchodzi bohater śpiewanej piosenki. Potem idą wszystkie mu towarzysząc, drepczą w miejscu drobnymi kroczkami i powtarzają:

„Idziemy, idziemy”.

Wcale jednak nie idą. Idziemy natomiast my, tym razem w sześć osób towarzysząc człowiekowi który popycha pod górę wózek z owocami. Ciężko mu idzie ta odwieczna ludzka wędrowka po via Appia Antica. Człeczyna przygiął się nad swym wózkiem, głowę oparł o jego krawędź prawie tak jak do snu albo tak jak do odpoczynku i swój wózek pcha całym wysiłkiem, krok za krokiem, coraz dalej i dalej do Rzymu. Ale stamtąd właśnie nadchodzi mu pomoc. To jego żona wyszła naprzeciw:

„Nie mogłam wcześniej Teodorze” mówi widząc jak jest zmęczony. Kładzie ręce na krawędzi wózka, pochyla się nad wózkiem tak samo jak Teodor. Oto pchają go razem i Teodor mówi:

„To nic Peppa, żeś się spóźniła. Ale dobrze żeś przyszła bom dzisiaj wziął więcej towaru niż zwykle”.

Normalne życie, tak jak życie Teodora i Peppy odbywa się także na podwórzach przy via Appia Antica gdzie nie ma gali mimo jej sławy i starożytności. W piasku bawią się niemowlęta, w blaszankach po konserwie rosną kwiaty. Z drzwi starego drewniaka wygląda biała i ładna kobieta. Patrzy za mężem, starym i kulawym mężczyzną, który idąc grać w karty mówi słowa dobrze malujące atmosferą codziennego życia panującą wzdłuż Appia Antica:

„Eh stara, świniom daj jeść i konie wyprowadź bo ja wrócę późno”.

Pies jest na podwórzu poza nimi, kilka świń i konie. Kobieta popatrzyła za swym kulawym i starym mężem i uśmiechnęła się do niego. Widać jest, że jakoś w zgodzie żyją i w przyjaźni mimo jego późnych powrotów, jego krótszej nogi i różnicy wieku trochę za dużej. Oto już mężczyzna przechodzi przez z dawną zachowaną i dziś nigdzie nie prowadzącą bramą. Podciąga swoją nogę dłuższą za tą która jest krótsza, schodzi w dół na pole, staje koło drzewa na którym przybito baranie rogi żeby przynosiły szczęście, zwija dłonie w trąbkę koło ust i woła:

„Hej Carlo, idziemy”.

„Idziemy” odpowiada mu z daleka młody mężczyzna wychodząc zza szopy. Ten czapkę ma na głowie nasuniętą w tył, marynarkę niesie na ręce. Spotykają się pod drzewem, pod baranami rogami, idą pod górę, nikną, ukazują się jeszcze na chwilę w przerwie między budynkami dwaj szczęśliwi ludzie: kulawy mężczyzna w czarnym ubraniu i czarnym kapeluszu i mężczyzna młody, czapkę mający na głowie i marynarkę przezuconą przez rękę.

Oto i ta brama przez którą przeszedł kulawy mąż pięknej i młodej kobiety. Jej starożytne wnętrze zamieszkuje człowiek stary, pałacy zużyta fajkę i jego żona, kobiecina biedna z najbiedniejszych, podobna do Marii Semprini, tylko że dużo od niej starsza. Zawstydzona jest nędzą i prymitywizmem swego życia. Obiad gotuje nad paleniskiem umieszczonym wę wnącę muru. Gałązki i kawałki drzewa na ten ogień nędzarzy zostały

przyniesione z pola, szczapki cienkich desek pochodzą ze skrzynki znalezionej na drodze. Zamiast podłogi jest tu polny kamień, zamiast sufitu są deski przedzielając wnętrze bramy na dwie kondygnacje. U tego sufitu wisi deska, na której na noc chowa się jedzenie przed szczurami. Drabina prowadzi na górę, do części sypialnej. Tam jest żelazne łóżko jako jedyny sprzęt mieszkania. Na sznurku przeciągniętym od okna do okna suszą się onuce.

„Ja ziemny robotnik byłem, całe życie tu przemieszkałem w tej bramie bom się tu urodził” powiada stary mieszkaniec bramy. „Dzieci odeszły na swój chleb, samiśmy zostali i tak tu sobie żyjemy”.

Żyją sobie jak na wycieczce niedzielnej, tyle tylko, że ta wycieczka im się przedłużyła na kilkadziesiąt lat. Kociołek w którym gotuje się obiad wisi nad ogniem na drucie. Jest czarny i dosyć duży ale niewiele w sobie zawiera: trochę ryżu, drobnego makaronu, trochę jarzyn, kartofli i wody, codzienny posiłek biedaków.

A ta czarna dłoń odbita na murze koło paleniska, to też nie pozostałość po starożytności, tylko ślad odgnieciony przez kobietę gdy oparła się o ścianę mając ręce ubrudzone sadzą. Ręce ma wielkie, rozbite przez pracę. Tak samo wielkie ręce ma jej córka, która właśnie nadchodzi odwiedzić swych rodziców. Ta niemowlę trzyma na ręce dając mu piersi. Wieje od niej ciężka i źle płatną pracą analfabety, robotnicy rolnej. I tak, wędrując po via Appia Antica, zobaczyłem ludzi żyjących takim samym życiem, jakie prowadzono tu w czasie, gdy droga ta była najważniejszą drogą na świecie.

Człowiek niechętnie schodzi pod ziemię. Są jednak tacy, którzy większą część życia pod ziemią spędzają. W tym wypadku chodzi o zakonników opiekujących się tutejszymi katakumbami.

Idziemy do tych katakumb mijając wiele starych murów po obu stronach drogi, dochodzimy do kościoła także starego i niedużego by z niego zejść w dół wąziutkim korytarzem i po dziesięciu stopniach do pierwszego korytarza najpłytszych katakumb. Zaraz zaczynają się groby wykopane w ścianach tego korytarza w miękkiej i podatnej na żłobienia tutejszej ziemi wulkanicznej. Są najpierw małe, przeznaczone kiedyś dla dzieci, bardzo płytkie i puste, umieszczone po siedem i po osiem, jeden nad drugim. Tych korytarzy jest tu kilkanaście kilometrów, całe miasto podziemne sięgające po trzydzieści i więcej metrów w głąb ziemi. Pudelka z marmuru na popiół po kościach nieboszczyka, resztki dawnych tablic zamurujących groby, każda ze znakiem fabrycznym, odnalezione tu dzbany i kości oto tutejsze dekoracje poza tymi, które robiono tu kiedyś malując na ścianach całą symbolikę chrześcijańską w której brak jednak krzyża występującego albo znacznie później, jak twierdzą jedni, albo nie umieszczanego przez chrześcijan ze względu na bezpieczeństwo. Jest gołąb, różowe róże, swastyki i girlandy kwiatów. Krzyża nie ma także i w drugich katakumbach do których przechodzimy znalazłszy się znowu na powierzchni ziemi. Są natomiast gołębie niosące gałązki oliwne w dziobach, łódki puszczane na wodę, kotwica, swastyka, człowiek niosący owcę, ten dobry pasterz którego widzi się tutaj na drodze także i dzisiaj gdy przechodzi stado bo młode owce, nie mogąc nadążyć za matkami, ustają prędko.

Korytarze idą w dół i przypomina to bardzo nasze kopalnie wosku ziemnego w Borysławiu, tak samo jest suche i czyste. Groby i groby ciągną się po obu stronach korytarzy, niektóre jeszcze nigdy nie otwierane, ze znakami rzemiosł pochowanych ludzi, z miejscem na lampkę, z zachowanymi malowidłami i napisami. Jeden z tych napisów czyta się łatwo, mimo że od jego wyrycia minęło tyle lat. Napisany jest na pół jeszcze po grecku, wcześniej tu będącym w użyciu, i na pół już po łacinie z kilkoma przy tym błędami i naleciałością hebrajską. Treść jego bezpretensjonalna wzrusza także i obecnie:

„Synowi najmilszemu by spoczywał w pokoju”.

Tu są groby biedaków. Ktoś powiedział o tym, że ludzie ryli się tu w ziemi dlatego, że nie mieli pieniędzy by zakupywać ziemię dla swych nieboszczyków. Dalej jednak przechodzi się zaraz do krypt ludzi bogatych i to prawdopodobnie bardzo bogatych sądząc z bogactwa malowideł.

Jest tam chrzest i jest stypa pogrzebowa, jest też i Abraham który znalazłszy owcę na ofiarę cieszy się, że nie będzie musiał zabijać syna i dziękuje za to Bogu unosząc do góry ręce. Na marmurowej płycie wyryto przy tym dwa imiona:

„Prisca Muses”.

Dorzucono do tych imion jeszcze i owcę, coś mającą symbolizować i dziewczynę w welonie rozkładającą ręce, dopisano po grecku „Eiphna”. Tyle zostało z dawnego czyjegoś bogactwa, i pozostały także kości, w tym wypadku nawet z zarysowanym całym ludzkim korpusem czy jakimś jego cieniem bo dają się z tego wyróżnić tylko wypukłości głowy, piersi, bioder i kolan. Tak jego ludzki materiał okazał się znacznie mniej trwały niż farba i kamień, bo współczesna mu dziewczyna z malowidła jest różowa jak niegdyś, rezeźmiana, młoda i ładna.

Na dworze za kościołem i za zabudowaniami kościelnymi znowu jest słońce i ptaki śpiewają wesoło na smutnych cyprysach. Głosy dzieci słyhać z daleka a bliżej buczenie bąka. Na trawie, leżąc w słonecznym miejscu trzech mężczyzn tutejszych gra w karty. Mówią powoli i cicho, jakby nie byli południowcami, mało się emocjonując grą. Siadam przy nich na chwilę, rzuciwszy przy tym okiem wokoło bo dziwnie mi to przypomina niedziele w podwarszawskich miasteczkach, gdzie mężczyźni tak samo wymykali się gdzieś na trawkę by zagrać w oko pod spróchniałą wierzbą. Przez ścieżkę przy mnie przechodzi czarny i błyszczący żuk, ten sam którego spotykało się w Wołominie, czarna mrówka niesie cząstkę ludzkich ekskrementów, pszczoła siedzi na żółtym mleczu, rośnie kilkanaście popróchniałych wierzb mających liście pocięte przez gąsiennice.

Kulawy mąż pięknej kobiety z chaty na via Appia Antica rozdał już karty dobrze poprzednio naśliniwszy palce. Siedzi w swym czarnym kapeluszu na głowie, z resztką papierosa przylepioną do wargi, mrużąc oczy przed dymem, zamyślony ale też i uśmiechnięty trochę ironicznie i liczy swoje „kije”, „pieniądze”, „miecze” i kieliszki które wyglądają jak kubki do wina i tak się też „coppa” nazywają, potem zaczyna kłaść karty na czerwonym pluszu, umieszczonym między nim i partnerem. Przegrał, na co jego partner powiedział tak jak by powiedziało się u nas:

„Kto nie ma szczęścia w kartach ten ma szczęście w miłości”.

Uśmiechnął się przy tym ironicznie patrząc zmrużonymi oczami.

„A tak?” — odpowiedział na to kulawy i przegrał ponownie.

„Ja przecież brzydka jestem Antonio” mówi Maria odpowiadając na jakieś bardziej angażujące go słowa Antonia. Na co ten odpowiada jej od razu żartobliwym rzymskim przysłowiem że, „kobiety ładne i brzydkie w łóżku są jednakowo dobre”. Ale widząc że zrobił Marii swoimi słowami wielką przykrość dodaje:

„Ty jednak nie jesteś brzydka i bardzo mi się podobasz Mario.”

Na to Maria Semprini, łatwo zapominając o poprzednich słowach Antonia, roześmiała się do niego tak samo ładnie jak poprzednio.

Tak rozmawiają ze sobą Maria Semprini i Antonio Esposito. Via Appia Antica schodzi tymczasem niżej i coraz niżej. Słońce jest z jej prawej strony a po lewej siedzi na balustradzie kilku miejscowych chłopców. Włosy im się trochę kręcą jak zwykle tutejszym ludziom, buty mają zabłocone, wszyscy trzej ubrani są po podmiejsku, wszyscy trzej zniechęceni są do życia niedzielą. Przerwali swoje męczące „far niente” by przyjrzeć się owcom idącym drogą.

Biała suka owczarka idzie na czele trzody, za nią mężczyzna wysoki, zarośnięty, brudny jak zwykle pasterze, z długim kijem w ręce i z jagnięciem na ramieniu przypominając „Dobrego Pasterza” z katakumb. Przy nim

baran przewodnik dzwoniąc dzwonkiem uwieszonym na szyi, w tyle jeszcze dwóch pasterzy, rzeczywistych, autentycznych pastuchów alfabetów, śpiących w polu lub w stajni i całe życie spędzających w pracy w gnoju, mierzwie, owczym zaduchu.

Biała suka wybiega ciągle naprzód, mimo że tak prędko nie powinnyby biec. Owce temu nie mogą podolać, młode wyciągają nogi z wysiłkiem, ustają. Po suce widać jednak, że karmi, że spieszy się do młodych, że jest głodna bo zagląda do każdej bramy i do każdej furtki. Skręca wreszcie do bramy tym razem własnej i za nią skręcają także i owce. W bramie jedno z jagniąt, puszczone wreszcie przez pasterza, ssie pospiesznie matkę na chwilę się do tego dorwawszy.

Kończy się już *via Appia Antica*. Po obu jej stronach ciągną się teraz parterowe domy, ludzi jest coraz więcej, tak jakby na wiejskiej ulicy. Końskie ogony, baranie rogi i podkowy widać tu i ówdzie przybite na pniach drzew koło domów, na bramach, na drzwiach.

„To przynosi szczęście” mówi Maria. Tylko ona, Antonio Esposito i mała Giulietta zostali ze mną. Maria patrząc za chłopcem czy mającym zmętniałe od ciągłych pocałunków, który obejmując swą dziewczynę idzie przez pewien czas koło nas, mówi:

„Pięknie się kochają”.

Na co Antonio, biorąc przykład z tej pary, nieśmiało obejmuje Marię za ramiona. Wstydzi się tego przede mną, bo widziałem początek ich znajomości, to też zostaje w tyle. Ze mną idzie więc tylko mała Giulietta. Umieściła ona swoje obie ręce w mojej jednej i dopiero teraz powiedziała do mnie swoje pierwsze słowa:

„Zaraz przyjdziemy do miasta”.

Miasto jest już blisko. Widać już baszty i mury obronne, wysokie, umocnione wieloma wieżami, budowane z kamienia i z cegły rozmaitych epok. Plac tu jest niewielki otoczony murami, na nim dziwny łuk tryumfalny *di Druso*, bardzo zniszczony i wiele sympatii budzący swoją spokojną konstrukcją.

Za *Arco di Druso* ulica dalej jest pusta i omurowana wysoko. Wiatr niesie po niej zeschnięte liście. Sześć dziewcząt różnokolorowo ubranych śpiewając przejeżdża ulicą na rowerach. Polyskują białymi kolanami. Tak samo beztrąsko na drzewach rosnących po obu stronach drogi śpiewają ptaki już się układając do snu. Ulica skręca w lewo, wychodzi na teren szeroki i coraz szerszy, na plac *Numy Pompiliusza* zaczynający się cmentarzem kariatyd i kamiennych lilii. Niebo nad placem i czerniejącymi w oddali zwaliskami łaźni *Karakalli* jest siwe, z lewej strony prześwieca żółtym i różowym kolorem. Wieczór się już robi. W Wiecznym Mieście na ulicach zaczynają świecić latarnie.

II.

II. NA FORUM ROMANUM

Pierwszy dzień pobytu w Rzymie. Przypada on na święto. Na chodnikach stoi tłum, z masztów zwisają państwowe sztandary czerwono-białozielone i miejskie czerwono-żółte. Przechodząc pod tymi sztandarami kobiety wchodzi na sławne zboczce *Palatynu*, jedne prowadząc tam dzieci by zobaczyć zresztą jak ważne miejsce w historii znajdzie ich awantura. Przebiegli obecne uliczki *degli Annibali* i *dei Serpenti*, ten niecały kilometr między *Kwirynałem*, gdzie odbywał się festyn, i *Palatynem*, polem bitwy, gdzie odbywały się pospieszne śluby z ich dziewczynkami.

To tutaj, na tych samych zboczach, odbyła się kiedyś ta bitwa o *Sabinki*. Chłopcy z tego plemienia, zdenerwowani porwaniem ich siostr i narzeczonych nie szukali prawdopodobnie specjalnego miejsca na tę bitwę nie wiedząc zresztą jak ważne miejsce w historii znajdzie ich awantura. Przebiegli obecne uliczki *degli Annibali* i *dei Serpenti*, ten niecały kilometr między *Kwirynałem*, gdzie odbywał się festyn, i *Palatynem*, polem bitwy, gdzie odbywały się pospieszne śluby z ich dziewczynkami.

To tutaj, przed Arco di Constantino, przed Kolosseum i koło zaznaczonej na bruku Meta Sudante, zaczyna się tak zwana Święta Droga, dróżka właściwie, Via Sacra, po której kiedyś w procesjach chodzono od świątyni do świątyni. Tłum ludzi idzie nią obecnie do Forum. Wyłożona jest płaskimi kamieniami, zachowując i teraz charakter ścieżki. Dawna świątynia Venere e Roma stoi nad nią dziesięcioma kolumnami z jej prawej strony, dalej tylko aparat fotografa i za aparatem Arco di Tito, żydowskiego pogromcy. Pod tą bramą via Sacra przechodzi dalej żeby skrócić na prawo i dojść już wprost do Forum Romanum. Stamtąd to słychać jest huczną i wesołą orkiestrę.

Dziwne rzeczy widzi się na tym Forum Romanum. W dole, obszernym jak dolina, stoją nagromadzone w możliwie największej ilości mury, marmury, arki, ruiny. Coś jak festyn ludowy się tutaj odbywa, coś jak koncert niedzielny na przedmieściu. Gra muzyka, na trawie między marmurami i murami kobiety, mężczyźni i dzieci z przedmieść siedzą jak w podmiejskim parku, siedzą zdaje się tak samo, i tacy sami, jak „kiedyś”, i tak samo drobni handlarze sprzedają im gotowany bób i orzeszki. I, gdy się trochę do kogoś nachylić, z lekka jadą winem, jak kiedyś.

Prowadzona przez muzykę i wydeptywana przez ludzi via Sacra z powrotem skręca na lewo. Ciasno tu było, widać to gdy się spojrzy na resztki dawnych budowli. Ludzi tu się musiało w takiej procesji mieścić niewiele, mogli iść miejscami tylko po trzech lub czterech najwyżej, bo dróżka ta idąc prosto i trochę w dół zwęża się tak bardzo, że wygląda jak wąska ścieżka, a kiedyś musiała być jak najciaśniejszy zaułek. Taka będąc właśnie zaułkowata wykrzywia się nagle bo wysuwa się na nią masywny mur zawalidroga. I to pod tym murem, wprost na „Świętej Dróżce” obrali sobie miejsce spotkań staruszkowie okoliczni. Siedzą w kilkunastu, opierając się plecami o fundamenty świątyni Romulusa, palą tanie cygara i fajki, śmieją się rozmawiając ze sobą, przychodzą tu w wesołym słońcu przeżywać swoje emerytury.

Marmury leżą na Forum Romanum *jak w kamieniołomach*. Via Sacra mija marmury z trudem, przechodzi pod Arco di Augusto którego już nie ma, i zaraz za tym łukiem wchodzi na płaski plac wyłożony płytami który kiedyś był rzymskim tutejszym targiem. Jest to właściwe Forum Romanum. Przeszedłszy przy tym placu do jego końca kończy się via Sacra. Trawa na niej rośnie i bawią się dzieci.

Nieduży jest ten placyk od którego zaczęła się rzymska historia i kultura. Kształt ma podłużny, z jednego boku ograniczony jest przez via Sacra i z drugiego przez sąsiednią ścieżkę. W jego jednym rogu stoi kolumna na wysokim podmurowaniu i więcej chyba nic. Dołów tu jest kilka. W jednym stoi woda po deszczu, z drugiego rozchodzą się podziemne korytarze, w trzecim rośnie trawa. Muru jest trochę koło tego dołu, na murze rosną krzaki. To resztki po dawnej świątyni Jowisza. Dziecko biega w koło tej świątyni i bawi się w wojsko. Składa się z patyka jak z pistoletu i woła:

„Pak, pak, pak”.

To jest wszystko co dzieje się na tym placu. Zeskromniał nie mogąc sam nastarczyć zapotrzebowaniu na tyle wielkości ile od niego wymagano, oddał nazwę, sławę i znaczenie całej dolinie sam stając się jej najmniej, znacznym kawałkiem.

* * *

Ludzie tłumnie idą na Forum. Głucho łomoczą bębny wojskowej muzyki. Czuć na Forum kwaśny zapach przepoconych ubrań.

Chciałoby się mówić o tym Forum tonem podniosłym, poważnym, nastrojonym na kilka tysięcy lat historii, ale się nie da. Oto młody człowiek

śpi na trawie w dawnym domu Westalek choć zdaje się, że powieszonoby go kiedyś za wejście tutaj. Palto podłożył sobie pod głowę, oczy zasłonił gazetą. Żółte rękawiczki z taniego magazynu leżą koło jego twarzy, zielona chustka wystaje mu z kieszeni, na niej widać ślady karminu startego z ust całowanej dziewczyny. Obok siedzą kobiety przyszedłszy tu z dziećmi z robotniczych dzielnic. Karmią niemowlęta. Oto jedna z nich wyjęła na wierzch pierś która rzadko widuje słońce i wetknęła sutkę w usta niemowlęcia, potem rozpostarła palce i nadziała na nie motek wełny, z którego druga ciągnie wełnianą nić. Trzy inne kobiety siedzą na trawie i rozmawiają ze sobą, szóstą, siódmą i ósmą karmią dzieci z butelek. Jest ich tu jeszcze kilkadziesiąt i kilkaset. Siedzą na trawie, siedzą na resztkach murów, siedzą na via Sacra i na via Nova, czyli „Nowa”, siedzą na marmurach, siedzą wszędzie, stoją, chodzą, rozmawiają gdy ich dzieci przewracają się na tej łące, pełzają i białują nie potrafiąc jeszcze chodzić, bawią się w stado owiec. Chłopiec pogania je witką. Obok śpiącego na trawie człowieka przechodzi na czworakach jedno i drugie stado. Dzieci białując lub idąc na czworakach powtarzają owczy głos:

„Be, be, be”.

Odbiegły nagle. Zostało tylko jedno najmłodsze. Kilka razy powtórzyło jeszcze swoje „be, be” nie wiedząc, że nikogo nie ma już poza nim, powstało chwilę niezdecydowane, obejrzało się i po chwilowym wahaniu przyłączyło się do obcego stada nadciągającego od Palatynu.

III.

III. WIZYTA NA PALATYNIE

Przyplątał się do mnie na Forum Romanum chłopiec nieduży, który prowadzi mnie w górę, do Palatynu. Tam idą chłopcy i różnokolorowo ubrane na święto dziewczęta, idą między laurem kwitnącym na żółto, bzem na fiołkowo i kwitnącymi na niebiesko glicyniami, idą na Palatyn bo miejsce to dobrze służy młodym parom w przeciwieństwie do Forum opanowanego głównie przez wcale nie po rzymsku a po podmiejsku wyglądające matrony.

Dwie dziewczynki, które dopiero początkują w tych zainteresowaniach, pokazują języki zaczepiając je chłopcom. Zazdroszczą starszym, chodzą więc po zakątkach Palatynu najbardziej ukrytych, w których to tu, to ówdzie przydybując spotykające się ze sobą usta wypadają znienacka i krzyczą udając wielkie zgorzzenie i niesmak:

„Och, znowu miłość”.

Z tymi dziewczętami i chłopcem towarzyszącym im z daleka dochodzę do resztki zabudowań tkwiących w ziemi by odwiedzić znajomego pustelnika. Furtki nie domknięto wiedząc, że przyjdę. Wióry świeże leżą tu na ziemi i ostróżyny desek, coś się tutaj ciągle robi.

Schodki prowadzą w dół, do czegoś co jest obecnie sienią a mogło być króźgankiem lub kaplicą. Warsztat stolarski tu stoi, z głębi słychać zaniepokojony ludzki głos:

„Kto tam?”

To pyta mój znajomy słysząc nasze kroki. Stary to człowiek, niespokojny zawsze o nieswoje bogactwo nagromadzone w tym podziemiu, prawie zawsze, bo od świtu do późnej nocy, zajęty swoją pracą. Także i teraz, witając nas, młotek trzyma w jednej ręce i dłuto w drugiej i stoi przy stole na którym leży jego praca: kawałki rozbitych marmurów. Młotek, obcęgi, świdry, dłuta i różne szczotki druciane, ryżowe i z włosia, miotełki z piór, pędzle i szpikulce stalowe, noże, gąbki i nożyki, to jego narzędzia. Fajkę między nimi położył i znalezione kawałki marmuru i doszukał się już

który któremu odpowiada oddzieliwszy po prawej stronie szczątki, które były głową chłopca i po lewej te, z których ma zrekonstruować głowę dziewczyny.

Stary człowiek jest dobry i trochę zdziwaczały pracując pół wieku prawie, zawsze w samotności i nad ocalaniem czegoś co, ludzie własnymi rękami, nieraz z nienawiścią a nieraz po prostu bezmyślnie poniszczyli. Lubi dzieci i dlatego przyszedłem z dziećmi i lubi tłumaczyć im to, czego nie chcą słuchać starsi, że nienawiść jest uczuciem chwilowym ale znacznie i szybciej potrafi niszczyć niż inne uczucia budować. Moje dziewczynki i chłopiec słuchają tego z wielkim zrozumieniem, bo żal im drobnych figurynek i podoba im się praca ich sklejacza.

„To jest żmudna praca ale przyjemna” mówi stary. Oczywiście, że przyjemna, podobna do składania obrazkowych łamigłówek. Strużą dłutkami razem ze starym przestrzegając jego wskazówek, wydrapują murarską zaprawę ze szczerb, przy czym stary tłumaczy im, że te kawałki wszystkie wydobyte zostały z murów, że kiedyś tak polupano je żeby były mniejsze, bo jako nic innego nie służyły tylko jako materiał budowlany. Miejsce obalonych wierzeń obejmowały nowe i nie wszystkim wizerunkom bogów, lub imperatorów, tylko bardzo rzadkim, udało się przetrwać udając kogo innego, jak temu który dotychczas z powodzeniem imituje świętego Piotra, siedząc najspokojniej w świecie na środku jego katedry, w centralnym miejscu nie tylko Rzymu ale całego chrześcijaństwa. Inni ocaleli bo zamiast ich pobić na kawałki zawalono nad nimi całe świątynie grzebiąc ich pod ziemią. Ale jeszcze inni, raz ocalawszy i znajdując się w bezpiecznych miejscach u ludzi, którzy im dali przytułek, zostali jednak wyrzuceni z czasem jako zbyt niebezpieczni, zbyt łatwo mogąc się ściągnąć na swych posiadaczy aresztowanie, procesy, więzienie, śmierć. Dawne świątynie i dawne rzymskie rzeźby, bezpieczeństwa, służyły więc tylko jako kamień. Rozbierano je, rozbijano, tłuczono budując nowe, i trzeba było aż prawie dwóch tysięcy lat na to, by zacząć rozwalać całe domy i mury, żeby ich szczątki podnajdywać.

Stary ma szacunek dla rzeczy ludzi minionych. Na ścianie u niego, poza królem i papieżem, rodziną królewską i fotografią gubernatora Rzymu, wiszą także portrety premierów włoskich za cały czas odkąd tu pracuje, z ostatniego pięćdziesięciolecia. Wiszą w rzędzie, w tej kolejności w jakiej po sobie następowali, nie ustępując miejsca jedni drugim tylko zajmując je jeden przy drugim. Wisi także Mussolini i może być, że jest to jedyne miejsce z którego nie zostanie on poruszony po swym upadku. Jego portret nie jest wielki. Taki sam jak innych. Dalej za nim jest miejsce jeszcze na trzy lub cztery portrety. Niewiele to, ale życie starego także nie zapowiada się na długo. Chodzi on powoli i gdy wstaje to wydaje się starszy niż przy pracy. Wysoki jest, na co nie wyglądał, podwyższa go jeszcze czapka zrobiona z gazety która ma mu chronić włosy przed pyłem ze skrobanego kamienia. Szary ma na sobie hałat, na nogach rozdeptane pantofle.

„Prawie tutaj mieszkam” mówi do mych dziewczynek prowadząc je po zakamarkach pracowni. Oglądają wszystko: starą umywalkę, tę samą którą postawiono tu przed pół wiekiem, figuryнки z terrakoty, medaliony z nagimi chłopcami i dziewczętami, tylko jeden medalion stary sklejacz zręcznie usuwa im sprzed oczu zanim się mogą spostrzec i jest to antyczny medalion o treści pornograficznej. Niestety, w czasie całego swego pobytu w Rzymie zapominam spytać czy jest i gdzie specjalne miejsce w którym przechowuje się tego rodzaju zbiory nie wystawiane na widok publiczny, nie pytam o to nawet wtedy, gdy stary sklejacz mówi mi bym zwiedzając Campidoglio zaszedł do lochu pod kościołem i zobaczył przytulisko rzeźb, które raz stawszy się groteskowe dla zmiennych gustów zostały wycofane z muzeów.

REFRENY HISTORII II*

Uroczyste zakończenie Konferencji w San Francisco nastąpiło w pierwszych dniach czerwca. Już z początkiem maja ministrowie spraw zagranicznych wielkich mocarstw opuścili zebranie Narodów Zjednoczonych. Konferencja, która faktycznie, jeśli nie formalnie miała być namiastką Konferencji Pokojowej wypełniona była dość ostrymi utarczkami politycznymi między dyplomatami wielkich mocarstw. Stwierdzenie, że cięń sprawy polskiej padł na San Francisco stało się już niemal banałem; tym niemniej jest ono prawdziwe. Dni ostatecznego tryumfu nad Trzecią Rzeszą również zakończone zostały zgrzytami i niesnaskami między sprzymierzonymi. Takim zgrzytem, bardziej zresztą symbolicznym niż realnym był fakt, że w Londynie i Waszyngtonie obchodzono Dzień Zwycięstwa o dobę wcześniej niż w Moskwie. Dwa razy też naczelne dowództwo niemieckie podpisywało akt bezwarunkowej kapitulacji. Raz w Reims, gdzie kapitulację odbierało dowództwo wojsk angielsko-amerykańskich na Zachodzie przy biernej asyście generała sowieckiego, drugi raz w samym Berlinie, wśród ruin stolicy Trzeciej Rzeszy, gdzie Marszałek Żukow występował jako główny zwycięzca przy biernej asyście przedstawicieli mocarstw zachodnich. Było to jak gdyby rozłożenie zwycięstwa na dwie raty. • Na dwie raty też w samej rzeczy rozłożona była kapitulacja wojsk niemieckich. Resztki Wehrmachtu składały naprzód broń wobec zachodnich Aliantów, nie przerywając walki przeciwko Armii Czerwonej. Do ostatniej chwili przywódcy Trzeciej Rzeszy, to jest zarówno Hitler jak i jego następca z nieprawdopodobnego zdarzenia, admirał Doenitz, liczyli na to, że uda im się poróżnić Aliantów samym faktem swojej kapitulacji wobec jednych lecz nie wobec drugich. Była to zresztą nie tylko kalkulacja wodzów pobitej armii. W podobny sposób reagowały masy żołnierzy niemieckich, opanowane panicznym strachem przed Rosją i pędzące na oślep do angielskich i amerykańskich obozów jeńców. Ten niemiecki strach przed Rosją był niewątpliwie głęboki i powszechny. Wpływ propagandy Goebbelsa przeżył samego Goebbelsa. Poza tym żołnierzami Hitlera zapewne kierowały poczucie własnej winy, pamięć okrucieństw dokonywanych na okupowanych terenach sowieckich, wspomnienia zgliszcz, nędzy, ruin i katowni, które unieśli ze sobą znad Wołgi i Donu, znad Dniepru i z Krymu, i ze szlaków wiodących od przedmieść Moskwy poprzez Smoleńsk i Mińsk. Spodziewali się rosyjskiej zemsty i liczyli na pobłażliwość zachodnich Aliantów. Zdaje się, że choć polityczne skutki tego postępowania Niemców nie są widoczne, pozostawiło ono jednak pewien osad rozdrażnienia czy goryczy w Rosji.

Zaledwie na pobojowiskach całej Europy rozległ się rozkaz „Przerwij ogień”, gdy „szereg poważnych i niepokojących spraw” wyłonił się w polityce międzynarodowej. Armie idące od wschodu, zachodu i południa stanęły wobec siebie oko w oko, wiwatując z powodu wspólnie odniesionego zwycięstwa. Lecz wśród zwycięskich wiwatów odbywało się tu i ówdzie coś w rodzaju wyścigu o to, kto pierwszy wkroczy do tego lub innego miasta, do tej lub innej prowincji. Czytelnik pism nie wie dokładnie gdzie i jak nakreślone zostały linie demarkacyjne między poszczególnymi strefami okupacyjnymi. Prasa zapewnia, że na ogół wszystkie armie zatrzymały się na liniach z góry wyznaczonych. Tu i ówdzie jednak linie te zostały przekroczone. Na południowej peryferii Europy wynikł konflikt o Triest. Marszałek Tito zamierzał siłą faktu wcielić ten port adriatycki do Jugosławii wobec czego rządy angielski i amerykański zgłosiły sprzeciw przy wymownym milczeniu rządu so-

* Patrz „Refreny Historii” Nr. 10, 1944.

wieckiego. Wojska Nowo Zelandzkie ukazały się w Trieście w sam czas, by zapobiec wykonaniu planu Marszałka Tito. W południowej Austrii sytuacja również okazała się płynną. Różne wojska okupacyjne wkrczały do Karyntii i Linzu, wycofywały się i znów wkrczały, wytwarzając nastroj niepewności i oczekiwania. Nie należy przejąskrawiać znaczenia i powagi tych konfliktów, narazie zakrojonych na skalę lokalną. Dają jednak one przedsmak trudności wobec jakich staje polityka i dyplomacja aliancka w chwili, gdy gmach Trzeciej Rzeszy rozleciał się w gruzy i gdy na jego miejsce przyszło tworzyć nowy układ stosunków, którego konturów, chociażby mglistych, jeszcze nie widać.

* * *

Nigdy chyba od czasu wojen napoleońskich żaden konflikt zbrojny nie postawił zwycięzców wobec takiego chaosu europejskiego. W świetle wydarzeń ostatnich tygodni porównanie między sytuacją obecną a wydarzeniami w okresie Kongresu Wiedeńskiego raz jeszcze nabiera niezwykle wyrazistej aktualności. W prasie angielskiej cytowano niedawno powiedzenie Stalina, że w wojnie obecnej Rosja dała krew, Stany Zjednoczone bogactwo, a W. Brytania — czas. Po zwycięstwie nad Napoleonem car Aleksander I niejednokrotnie podkreślał rosyjski wkład krwi. „Czasu i bogactwa” dostarczała była przeciwnikom Napoleona, Anglia. Jak Stany Zjednoczone w wojnie obecnej uzbrajały swych sojuszników przy pomocy Lend-Lease, tak wówczas Anglia „subsydiowała” koalicję anty-francuską na kontynencie. O angielskim ministrze skarbu mówiono wówczas, że był „płatnikiem całej Europy”. Schyłkowi potęgi militarnej Napoleona towarzyszyło przechodzenie „satelitów” do obozu zwycięzców. Państwa niemieckie odgrywały przy tym rolę podobną do roli obecnych państw bałkańskich — Niemcy rozbite na niezliczoną ilość państw i państewek — były wówczas w pewnym sensie Bałkanami Europy. Bawaria, Badenia, Wurtembergia, Saksonia, jak dziś Bułgaria czy Rumunia „miały nadzieję, że na zniszczeniu potęgi francuskiej w Niemczech uzyskają tyle, ile osiągnęły przez swoją usłużność wobec Napoleona” — jak powiada pewien historyk angielski. Papież odzyskał swą wolność osobistą, lecz pozbawiony był wszelkiego wpływu politycznego. „Wszystkie mniejsze państwa wiedziały, że wielkie mocarstwa potrafią zrobić z imperium napoleońskim cokolwiek zechcą, jeśli tylko pozostaną zjednoczone”.

W niezliczonych konferencjach, spotkaniach ministrów spraw zagranicznych z udziałem czy też bez udziału cara i głów innych państw sprzymierzonych starano się — przez długi czas na próżno — osiągnąć tę jedność poglądów. Były to Jalty i Teherany owego okresu. Kiedykolwiek ujawniała się bardziej zasadnicza rozbieżność stanowisk, spodziewano się cudów po spotkaniu osobistym głównych przewodców Koalicji. Traktat Paryski z 20 listopada 1815 roku przewidywał, podobnie jak uchwały krymskie, okresowe konsultacje między sprzymierzonymi. Jeden z artykułów tego traktatu brzmiał: „Dla ułatwienia i zapewnienia wykonania obecnego Traktatu oraz dla skonsolidowania związków, które w chwili obecnej tak ściśle łączą Czterech Monarchów dla szczęścia Świata, Wysokie Układające się Strony postanawiają ponawiać swe spotkania w ustalonych okresach, czy to pod bezpośrednimi auspicjami samych Monarchów, czy też przy udziale ich ministrów z celem konsultacji w sprawie ich wspólnych interesów oraz dla rozważania środków, które w danym okresie uważane będą za najbardziej zbawienne dla spokoju i dobrobytu Narodów oraz dla utrzymania pokoju w Europie”.

Spotkania ministrów spraw zagranicznych, podobnie jak dziś, nie były zbyt owocne w skutki. Wynikało to w dużej mierze z pewnej osobliwości, na którą dość często narzekają i obecnie dyplomaci alianccy. Rosyjscy ministrowie spraw zagranicznych i ambasadorowie nie śmieli podejmować samodzielnych decyzji i przed poczynieniem jakiegokolwiek

roku lub wypowiedzeniem swego poglądu musieli czekać na placet cara. „Car zarezerwował dla siebie — pisał w swym sprawozdaniu dyplomata angielski — nadzór nad całym departamentem spraw zagranicznych. Uważa on, że mając okazję poznania polityki, przyjrzenia się praktyce ministrów głównych dworów, oraz po zawarciu z nimi znajomości osobistej jest on lepiej poinformowany, aniżeli większość ministrów”. Ambasador rosyjski w Paryżu, Razumowski, opisywany jest jako „cyfra, oczekująca jedynie rozkazów z centrum”. Podczas rokowań które w końcu doprowadziły do zawarcia Czwórprzymierza w Chaumont „rosyjscy pełnomocnicy oświadczyli, że nie mogą podpisać Traktatu zanim Aleksander nie zapozna się z jego ostateczną formą. W tej odmowie nie było żadnych złowieszczych motywów. Wynikała ona po prostu z dyscypliny w jakiej utrzymywał Aleksander swoich ministrów. Pełnomocnicy innych państw jednak... byli przerażeni tą odmową... Rosjanie otrzymali pozwolenie na podpisanie Traktatu dopiero osiem dni później”.

Analogie takie nasuwają się w sprawach wielkich i drobnych. Lecz rzecz jasna, że odmiennie konfiguracje geograficzne i polityczne owego okresu stwarzały i ciekawe różnice. Tak więc w dobie Kongresu Wiedeńskiego dyplomacja angielska a nie rosyjska, operowała programem „strefy bezpieczeństwa”. Wynikało to po prostu z faktu, że bardziej bezpośrednim sąsiadem największej potęgi militarnej na kontynencie, to jest Francji, była Anglia a nie Rosja. Program angielskiej strefy bezpieczeństwa zmierzał do utworzenia szeregu „barier” przeciw „wznowionej agresji francuskiej”. Angielski minister spraw zagranicznych, Castlereagh, żądał bezwzględnie by Francja odepchnięta została od ujścia rzeki Skaldy, a zwłaszcza od Antwerpii, by Holandia została wzmocniona przez „barierę Niderlandzką”, by Hiszpania i Portugalia były zabezpieczone gwarancją wszystkich mocarstw kontynentalnych przeciwko atakowi francuskiemu. Od spełnienia tych postulatów Castlereagh uzależniał uwolnienie spod okupacji angielskiej niektórych, lecz nie wszystkich posiadłości kolonialnych Francji. Antwerpia była wówczas dla Anglii tym, czym Królewiec lub Szczecin jest dzisiaj dla Rosji. Dyplomacji angielskiej niesłychanie zależało na tym, by w krajach buforowych po drugiej stronie Kanału ustanowić rządy „przyjazne” dla W. Brytanii. Trzeba jednak stwierdzić, że w dążeniu do zapewnienia sobie przyjaźni tych rządów dyplomacja angielska przejawiała dużo taktu, giętkości i rozumu politycznego, nie ubiegając się o nią zalotami zbyt brutalnymi. Toteż na przyjaźń tę mogła liczyć przez długi okres po wojnach napoleońskich i w dużym stopniu wciąż jeszcze liczyć na nią może.

Car Aleksander nie upierał się szczególnie przy takich czy innych granicach Francji, podczas gdy celem dyplomacji angielskiej było oderwanie od Francji wszystkich tych ziem, które Francja nabyła w okresie Rewolucji. Hasłem Castlereagh'a powtarzanim we wszystkich jego memoriałach i dokumentach dyplomatycznych było przywrócenie tzw. ancient frontiers, czyli granic z czasów ancien régime'u. Anglia była jednak stosunkowo mniej zainteresowana w wytyczaniu wschodnich granic Francji. Najdalej idące żądania okrojenia Francji wychodziły od kontynentalnych jej sąsiadów, to jest od Prus i państw niemieckich, podobnie jak dziś nie Rosja, lecz Francja jest przede wszystkim zainteresowana w odepchnięciu Niemiec za Ren. Na tym tle dochodziło nawet do ostrych rozdzźwięków między Anglią a Prusami, zwłaszcza, że mściwe zachowanie się Prusaków wobec Francuzów wywoływało niesmak i oburzenie w Anglii. Zresztą kwestia granic, które miały być narzucone pokonanemu nieprzyjacielowi należała do najbardziej spornych zagadnień. Państwa niemieckie domagały się wręcz rozczłonkowania (dismemberment) Francji. Premier Prus zwierzał się ambasadorowi brytyjskiemu, że nie potrafi oprzeć się nieumiarkowanym żądaniom wojska i że sam czuł się jak gdyby w ręku band pretoriańskich. Żądano ogromnych reparacji, kontrybucji, Alzacji

i Lotaryngii, Sabaudii i t.d. Prywatne żądania reparacyjne sięgały ogromnej sumy 1.200 milionów franków. O sumę tę toczyły się długie i zacięte spory, aż wreszcie zgodzono się na zredukowanie jej do niemal jednej piątej. Poza tym wyznaczono kontrybucję w wysokości 700 milionów franków. Dla północnych departamentów Francji przewidywano okupację pięcioletnią. Armia okupacyjna była pod dowództwem zwycięzcy spod Waterloo, Wellingtona. Wreszcie ambasadorowie paryscy czterech mocarstw zwycięskich stanowili Radę Nadzorczą w Paryżu dla regulowania stosunków z rządem francuskim — Radę tę można by uważać za poprzedniczkę Komisji Alianckiej, która ma obecnie sprawować kontrolę nad administracją niemiecką.

Jest rzeczą ciekawą, że krańcowe żądania odwetowe spotykały się z opozycją rządu angielskiego i cara Aleksandra. W tym punkcie dyplomacja obu państw działała zgodnie. Wydana przez angielskie ministerstwo spraw zagranicznych historia Kongresu Wiedeńskiego powiada że „car Aleksander kierował się wspaniałomyślnością i rozumem politycznym, a ministrowie angielscy, jak to sami stwierdzali, tylko racją stanu”; lecz bez względu na motywy występowali oni zgodnie jako zwolennicy tzw. pokoju umiarkowanego. Trudno nie pomyśleć w związku z tym o kampanii sporego odłamu prasy angielskiej na rzecz „umiarkowanego pokoju” dla pobitych Niemiec. Zresztą w Anglii z 1815 podobnie jak w Anglii z 1945 roku nie brak było odłamu skrajnego, czyli mówiąc językiem nowoczesnym „Vansittartowców”. Na czele ówczesnego odłamu „Vansittartowskiego” stał Książę Regent, sam premier i niektórzy ministrowie, podczas gdy rzecznikami umiarkowania byli Castlereagh i — wywierający przemożny wpływ na politykę — Wellington. Hasłem tych ostatnich było „security and not revenge” — bezpieczeństwo a nie zemsta. Twierdzili oni, że silna Francja będzie błogosławieństwem dla Europy oraz pożyteczną przeciwwagą wobec Prus i Rosji. Jakież często spotyka się obecnie ślady tego rozumowania w stosunku do Niemiec. Jak dziś o Niemczech tak wówczas o Francji twierdzono, że zbyt daleko idące okrojenie jej sprawi, że Europa znów będzie musiała się bronić „against an irreconcilable and infuriated nation”. Obawiano się ponadto, że polityki zaborów terytorialnych raz rozpoczętej, nie da się łatwo zatrzymać i że doprowadzi ona do wytyczania granic-dziwołagów w całej Europie. Różnicą rzucającą się w oczy jest to, że w przeddzień Kongresu Wiedeńskiego przeciwnicy Napoleona bynajmniej nie mieli zdecydowanego planu zlikwidowania reżymu bonapartystycznego we Francji. Nie składano wówczas tych oświadczeń, jakie składało się w czasie tej wojny na temat reżymu hiterowskiego. Różnica ta rzecz jasna, wynika z odmiennej roli jaką odgrywał Napoleon w życiu i dziejach Francji. Wrogowie jego zdawali sobie sprawę z tego, że Napoleon nie był tylko uzurpatorem i despotą — był jeszcze czymś więcej. Był pod wielu względami spadkobiercą Rewolucji Francuskiej i reprezentował nie tylko w oczach ludu francuskiego, lecz również w oczach całej Europy, wielkość jej podstawowych zasad. Nawet przeciwnicy Napoleona korzyli się nieświadomie przed nowymi wartościami społecznymi, które wciąż jeszcze związane były z imieniem Napoleona. Szczególnie car Aleksander w końcowych momentach wojny napoleońskiej obawiał się powrotu do ancien régime'u i uważał próby restauracji burbońskiej za złą utopię. Nawet mistrz reakcyjnego absolutyzmu jakim był Metternich nie posunął się w swych planach tak dalece, by propagować powrót do przed-rewolucyjnego status quo. Wynikało to zresztą z faktu, że dwór habsburski chciał uratować dla Marii Ludwiki resztki schedy napoleońskiej. Przygotowując zługę Napoleona, dwór habsburski nie zapominał jednak, że Napoleon był zięciem cesarza austriackiego. Poglądy Castlereagh'a na temat dziedzictwa po Napoleonie były co najmniej mgliste. I on również wzdygał się początkowo przed wyprowadzaniem na scenę upiórów z okresu przed-rewolucyjnego. Przez krótki okres aktualną

wydawała się kandydatura Bernadotte, byłego generała napoleońskiego, który osiadł na terenie szwedzkim. Kandydatura ta wywoływała jednak sprzeciw ze strony legitymistów, którzy pod żadnym pozorem nie chcieli pozwolić na to, by na tronie Francji zasiadł człowiek, który swą karierę i stanowisko wywodził z reżymu Banapartystycznego. Epizod ten przypomina nieco protesty przeciw uznaniu „rządu” Doenitza i Schwerig-Krossigka, wywodzącego swój rodowód z reżymu samego Hitlera. I w tym wypadku porównanie wypadnie prawdopodobnie na korzyść francuskiego pierwowzoru. Bernadotte bynajmniej nie był tak bezwolnym i posłusznym narzędziem Napoleona jakim był do ostatniej chwili Doenitz wobec Hitlera.

Z dyskusji na temat roli wielkich mocarstw i małych państw z okresu Kongresu Wiedeńskiego można by dzisiaj czerpać pełnymi garściami cytaty, które niemal nic nie straciły na swej aktualności. Car i Metternich zazdrośnie strzegli dyktatury wielkich mocarstw, odmawiając mniejszym narodom prawa do zabierania głosu w sprawach pokoju europejskiego. „Metternichowi nie mniej niż Aleksandrowi — pisze historyk angielski — wykonywanie nadzoru nad małymi państwami wydawało się czymś naturalnym i oczywistym. Zmierzała ona już do tego, by dyktatura wielkich mocarstw stała się rzeczywistością w Europie. Castlereagh, na odwrót, jakkolwiek uważał przymierze wielkich mocarstw i organy tego przymierza za konieczne, to jednak od początku stał na stanowisku, że zakres ich winien być ograniczony do obowiązków, wynikających z traktatów. Sprzeciwiał się on propozycji Metternicha nie tyle z powodu jej celu ale i dlatego, że naruszała ona prawa małych państw. Twierdził on, zgodnie z prawdą, że opinia publiczna W. Brytanii nie będzie tolerowała takiego uświęcenia zasady siły. W ten sposób rozpoczął się spór który miał urastać stopniowo do wielkiego problemu dzielącego W. Brytanię od jej sprzymierzeńców”. Tym niemniej i Anglia i inne państwa sprzymierzone godziły się z główną zasadą, że „the conduct of the business must practically rest with the leading Powers”.

Choć car nie przestawał składać deklaracji o solidarności wielkich mocarstw sprzymierzonych, to jednak na zachodzie rósł strach przed Rosją. Historycy tego okresu poświęcają niezwykle wiele miejsca „alarmującym posunięciom Rosji”. Wpływ cara był przemożny co najmniej w połowie dworów europejskich. Był on szczególnie wielki w stolicy zwyciężonego wroga, gdzie ministrów określano czasem jako agentów rosyjskich. We Włoszech car popierał dążenie wolnościowe i wspomagał wszelkimi środkami Karbonariuszy oraz inne tajne spiskowe stowarzyszenia niepodległościowe.

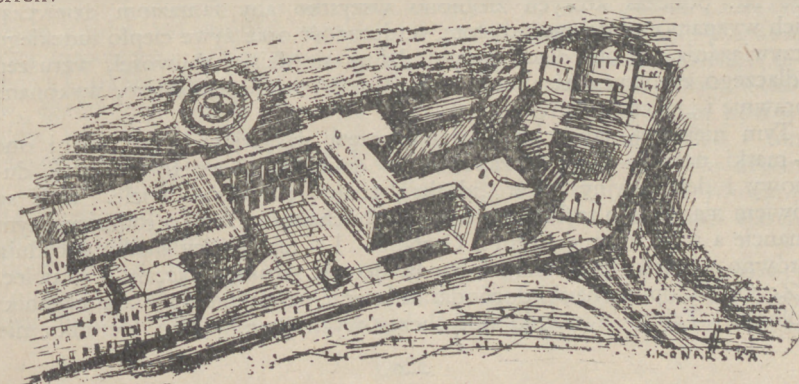
„Z Niemiec również nadchodziły podobne wieści o wpływie rosyjskim — czytamy w jednej z historii tego okresu — Szkielet konfederacji niemieckiej, zbudowany w Wiedniu nie posiadał jeszcze kształtu i treści... Aleksander przez żonę swoją spowinowacony był z dworem Badeńskim, a przez siostrę swą Katarzynę z dworem Wurtemberskim, ośrodkiem wpływów liberalnych i anty-austriackich w południowych Niemczech. I tutaj można było sobie wyobrazić, że istnieje jakiś spisek rosyjski, zmierzający do ustanowienia hegemonii rosyjskiej nad Niemcami lub przynajmniej do uniemożliwienia Austrii roli hegemonia”. Podobnie zresztą wyglądała sytuacja w Turcji, gdzie ambasador rosyjski Stroganow oświadczał, że „Rosja nie znieśnie żadnej interwencji innych mocarstw w stosunki rosyjsko-tureckie”. Raporty, dyplomatyczne z tego okresu pełne są najbardziej alarmujących doniesień o knowaniach i spiskach rosyjskich. Historycy, którzy wiele lat później sprawdzali te doniesienia dochodzili do wniosku, że większa część podejrzeń rodziła się z domysłów, rozgorączkowanej wyobraźni lub też w Metternichowskiej kuźni intryg. Można jednak zrozumieć w świetle wydarzeń obecnych stan rzeczy w r. 1815 opisywany w następujących słowach:

„Współczesnych intrygowało pytanie jak pogodzić posunięcia rosyjskie we Włoszech, Hiszpanii i Niemczech z deklaracjami o pragnieniu współpracy z innymi Wielkimi Mocarstwami. Deklaracje te co prawda mieszane były z twierdzeniami i żądaniem, które zdradzały wszystkie symptomy nierównowagi umysłu (Aleksandra I)... Lecz trudno było uwierzyć, czy to wówczas czy też teraz, że były one tylko zasłoną dla podstępnych i daleko sięgających planów”. Niewątpliwie i obecnie przy całym niepokoju co do właściwych celów polityki rosyjskiej, opinia angielska powtarza tę myśl — „trudno uwierzyć, by to wszystko było tylko zasłoną dla podstępnych i daleko sięgających planów”.

„Kryzys zaufania” między Anglią a Rosją rozszedł się wreszcie po kościach w roku 1815. Pełne zaufanie między dwoma tymi państwami prawie nigdy nie zostało przywrócone. „Kwestia wschodnia” była stałym tematem sporów w ciągu całego wieku XIX. Wpływy angielskie i rosyjskie ścierały się ze sobą ostro na Bałkanach i na Środkowym Wschodzie. Jednakże poza epizodem Wojny Krymskiej, którą wielu historyków angielskich ocenia jako wojnę bezcelową, pokój panował między Anglią a Rosją w ciągu blisko półtora wieku, pokój, którego wartość w oczach opinii angielskiej podkreślały jeszcze przymierza W. Brytanii z Rosją w pierwszej i drugiej Wojnie Światowej. Czy na tym skończą się również obecne rozdźwięki angielsko-rosyjskie, pokaże przyszłość.

Wojny napoleońskie zakończyły się czwórprzymierzem (Traktat z Chaumont 1814 r.) obliczonym na uniemożliwienie nowej agresji francuskiej. Lęk przed odrodzeniem się bonapartystycznej potęgi militarnej przez kilka lat jeszcze kierował polityką zwycięzców. Sytuacja obecna niewiele się pod tym względem różni od układu stosunków po Kongresie Wiedeńskim. System przymierzy europejskich, jakim kończy się druga wojna światowa jest również wyraźnie zwrócony przeciwko odrodzeniu się potęgi militarnej Niemiec. Jednakże po roku 1815 Francja nie była w stanie oddawać się na nowo bonapartystycznemu snom o wielkości. „W rezultacie reżymu napoleońskiego układ sił w Europie zmienił się na stałe, choć ówczesni mężowie stanu prawie tego nie zauważyli. Liczba ludności męskiej we Francji zmniejszyła się poważnie. Francja straciła kolonie, podczas gdy inne wielkie mocarstwa otrzymały wielkie nabytki terytorialne. Granice Francji były na ogół te same co w roku 1789, a co najważniejsze, napoleoński system podbojów zakończył się kompletnym krachem i wzmocnił tylko wrogów Francji. Choć w narodzie francuskim wciąż jeszcze istniał odłam agresywny, to jednak skutki te odbiły się trwale na duchu narodowym i wpłynęły na wydarzenia lat 1830-40. Dawały się one nawet odczuć w odrodzonym Imperium Napoleona III.”

Czy można mieć nadzieję, że klęska roku 1945 oznacza ostateczny kres militarizmu niemieckiego? Że Niemcy doznały klęski tak ciężkiej, że pamięć o niej na długie pokolenia uniemożliwi marzenia o imperialistycznym panowaniu nad światem? Czy historia zechce powtórzyć i ten refren?



, MASKA I KREW

Chciałbym wyznać, nie odejmując nic z ciężaru i klasy naszej poezji, że ilekroć czytam wiersze o dzisiejszej Warszawie widzę przede wszystkim w trosce lub zadumie pogrążone oblicza poszczególnych poetów a dopiero w głębi, jako „tło”, przejmującą panoramę nadwiślańskiej stolicy. Naprzód wzrusza mnie autor a potem dopiero — Warszawa. I chociaż tęsknoty, marzenia czy rozpaczliwe zrywy naszych wierszopisów są niczym w obliczu tamtej zbiorowej tragedii — taka jest chyba nieodparta sugestia poetyckiego egotyzmu, że ból serdeczny pieśniarza przysłania najdonioślejsze nawet zdarzenia zewnętrznego świata.

I pragnę przyznać się do tego, że tragedię Warszawy zobrazowała mi dopiero w całej podniosłej zgrozie — banalna piosenka. Stary zapomniany szlagier. Chociaż tekst tego „przeboju” nie ma nic wspólnego ze smutnymi dziejami naszej stolicy, zapewne okoliczność, że po raz pierwszy słyszałem go w Warszawie, i wówczas „kiedy byłem jeszcze szczęśliwy”, zadecydowała o takim właśnie skojarzeniu. Wyłem cały dzień — cały dzień mordowało mnie to straszne tango:

„O czym marzy dziewczyna,
Gdy dorastać zaczyna,
Kiedy z pączka zamienia się w kwiat”...

Ale wieczorem, po zmęczeniu melodią i wyczerpaniu obrazami, jakimi nasycala się obudzona chłonność, przyszła chwila „rozpoznania”, konfrontacji. I wtedy zastanowił mnie tekst; przytoczone wyżej słowa...

Głośny myśliciel hiszpański, José Ortega y Gasset, wysuwa, w pięknej rozprawie o historycznej roli kobiety, interesującą tezę: „Od wzruszającej tkaniny domowych dziewczęcych rojeń zależy w dużym stopniu rzeczywistość nadchodzącego stulecia”.

Nie od razu akceptujemy tę myśl. Po odrzuceniu jednak wielu intelektualnych nawyków i uwolnieniu się z próżności, która nie pozwala bez sprzeciwu poddać się tej trochę upokarzającej sentencji — ogarnia nas smutek i niepokój:

O czym to marzyły, kogo i co przyzywały matki nasze w swych dziewczęcych snach, że od 30 lat ludzkość cała broczy we krwi i nie ma końca naszym zmaganiom? Jaki ideał ożywił ich gorące fantazje, że przyniosły nam one hańbę, klęskę i Golgotę, która nosi dziś nazwy większości europejskich stolic?

Jeden z listów Julii de Lespinasse kończy się zwrotem, który wydaje nam się wymuszony i śmieszny, odkryta nim bowiem „nagość” kobiecego serca jest — jak na nasz smak — zenująca: „Bądź zdrow, drogi; gdybym kiedy wróciła do życia, chciałabym jeszcze obrócić je na to aby cię kochać”... Od Julii de Lespinasse do panińskiego wieku naszych matek upłynęło 150 lat, podczas których zrobiono wszystko aby fantazjom dziewcząt i ich wyznaniom odebrać prostotę, serdeczność oraz żywe ciepło ludzkiego przywiązania. I oto dlaczego wstydzimy się dzisiaj tkliwości, wzruszeń i dlaczego zachwyca nas każda nikczemność, każde łajdactwo, wykonane sprawnie i „rzeczowo”.

Tym niemniej, jak wszystkie dziewczęta wszystkich epok, tak i one — matki nasze — marzyły zapewne o miłości. Lecz forma, styl, duchowy i dekoracyjny fason „idealu”, znaczą tu bardzo wiele. Inne są bowiem marzenia o trubadurze a inne o buchalterze, inne o romantycznym amancie a inne znów o hyciu z Gestapo. I o tej różnicy smaku decydują zarówno stosunki społeczne jak prądy ideowe, sztuka, obyczaje — krawiec.

Zgodnie z opinią nauki dochodzi tu jeszcze najważniejszy bodaj czynnik: biologia. Tylko że wyniki dotychczasowych prac w tym kierunku nie

przekraczają granicy eksperymentów i teoretycznych powiązań, co oczywiście nie pozwala na odtworzenie formującego procesu ludzkiej psychologii. Ale nie ulega już dzisiaj wątpliwości, że soki obiegające nasz organizm, ich skład chemiczny oraz ilość, wszystko to zabarwia charakter człowieka, jego temperament; wpływa na sposób myślenia i na rodzaj pragnień. Sławny spec od erotyki, Montherlant, jest zdania, że każdy dramat miłosny „neutralizuje się” po... dobrym i sutym posiłku. Głód jest zatem kiepskim doradcą nawet w miłości. Jeszcze jeden argument przemawiający na rzecz marksowskiej wersji świata.

Trzeba nadto w rozważaniach tego rodzaju zwrócić uwagę na choroby trapiące obserwowany okres. Lata po Chrystusie stały pod znakiem trądu, średniowiecze dziesiątkowały epidemie, potem przyszedł czas gruźlicy, teraz swita jakaś przekłeta era nowotworów... Każda epoka ma swoją chorobę, której niewątpliwe skutki widoczne są w tym wszystkim gdzie życie ludzkie rysuje ślady nieustannego biegu dziejów. Nie jest więc rzeczą obojętną w jakim stopniu ulegał organizm człowieka, na przestrzeni pewnego okresu, rozkładczym atakom chorób.

Odtworzenie epoki naszych rodziców jest — zdawałoby się — o tyle nie trudne, że okres ten przeszedł do historii pod nazwą „fine-de-siècle”, co z czasem stało się równoznaczne z duchowym upadkiem, marazmem i dekadencją. Konfekcja intelektualna, wyprodukowana dla masowej konsumpcji czy orientacji, uproszczona, zbanalizowana — po prostu nieprawdziwa. Mało który okres dziejów naszych może poszczycić się równie doniosłą co wszechstronną pracą, równą sumą twórczych osiągnięć oraz śmiałych i odkrywczych wypadów ludzkiego ducha. Dekadentyzm, zepsucie, poza blasé, to snobizm wynikający z olbrzymich możliwości, jakie otworzyły klasie mieszczańskiej rewolucje społeczne i swoboda obyczajów. Pensjonarka ze „Słówek” Boya chępli się w czarującym wierszyku i promienieje dumą: „Bo mnie kocha pewien malarz w pelerynie i dekadent, co ma baki”... Było rzeczą dobrego smaku odwalać człowieka, który wiele przeżył, szumiął, i dla którego uroda życia wyczerpała swój nieobfity repertuar. Znużenie, jako postawa życiowa, miało swój szczególny w owych czasach wdzięk, co na dodatek „zakrapiano” melancholią i cierpiętnictwem. Nie trudno jednak dostrzec, że zbiorowa maska tych czasów pochodziła z mistyfikacji, którą sobie jako poezję zaharowana wówczas rzeczywistość zaaplikowała. Materialistyczny sposób pojmowania dziejów, teoria ewolucji Darwina, Wiosna Ludów, odzierająca z nimbu każdą formę możnowładztwa oraz czarodziejska siła pieniądza, wszystko to dokonało olbrzymiego przewrotu w niedawnych jeszcze pojęciach, których kłamstwo lub niewiedza zaspakajały irracjonalne potrzeby mas — tworzyły bogate pokłady poetyckiego surowca. W poszukiwaniu zatem „nowych dreszczy” rodziła się arlekinada na scenie i w życiu; styl maski, ciągnący się od sztuki i literatury poprzez powszedniość codziennych wydarzeń, do zabaw kostiumowych i „Pajaców” włącznie.

Tę podskórną potrzebę mistyfikacji, wynikłą z nakreślonych warunków rzeczywistości, zintensyfikowała — jak to zwykle bywa — poezja. Krążąc dokoła źródeł, od których trysnęły w nowoczesnej poezji pierwsze słowa czarującego uroku zepsucia w połączeniu z zagadkowością, „tajemnicą”, trafiamy na grunt wcale, jak na importy kulturalne owych czasów, egzotyczny: U.S.A. Rzucił je w świat omotany tragicznym powikłaniem losu — Allan Edgard Poe. Przydał tym słowom barwę i ton satanizmu Baudelaire, którego „Kwiaty grzechu” stały się brewiarzem drugiej połowy XIX stulecia, aż u Verlaina odezwały się one zdecydowaną nutą zmysłowego rozwydrzenia i rzewnej modlitwy, z akcentami starej, zmęczonej sobą kultury.

Bogate jednak życie XIX w. nie da się zamknąć w jednej formie ideowej czy manierze. Równoległe z popularną koncepcją życia biegnie długi szereg innych, nierównie ważniejszych od dekadentckiego zblazowania.

Obok wielkiej szkoły Marksa, która z przemian społecznych wyniosła system widzący nie w idei lecz w czynie, w działaniu, syntezę myśli i bycia — powstaje dramat Ibsena: apoteoza siły duchowej i fizycznej krzepy. Z rozczarowań natomiast, jakie wywołały hasła francuskiej rewolucji idzie zwrot ku despotycznemu kierownictwu zbiorowością Arthura de Gobineau, dla którego konflikty socjalne są tylko zjawiskiem pobocznym fatalistycznej walki ras. Wymienione składniki siły, działania i instynktu godzi znakomicie „nadczołowiek” Nietschego: mądra bestia, nie podlegająca ani przyziemnym normom ani kategoriom ciasnych horyzontów, wiodąca ludzkość do heroicznych zadań. I oto teatr Wagnera wskrzesza z niepamięci mityczne związki z bogami Walhalli, pogłębione burzą niespokojnej muzyki.

Niby „Leitmotiv” przewija się przez wszystkie dociekania tych czasów głos Schoppenhauera, który filozofię swoją, jak Rabelais i Montaigne, budował nie z tez, formuł i dociekliwych systemów ale z praktyki, z codziennych doświadczeń życia. Wiadomo, że świat jaki się jawi jego oczom zasnuty jest kirem beznadziejnego pesymizmu. Lecz już nad ciemnym skłębieniem idei rozpina się wielobarwną tęczę impresjonizm — ten kolorowy „powrót do natury” — który poddaje mieszcuchów, opiętych w gorsety i „Vatermoerdery”, magicznej operacji słońca. A nasiąkłe treścią idei, porwane nurtem wolnego życia, wspaniałe romansopisarstwo dziewiętnastowieczne opowiada się za miłością; za jawną pełnią wzruszeń i oddania „dwojga tworzących ciał”.

To wszystko — jako poezja i piśmiennictwo, jako filozofia i wyszukane subtelności sztuki, służące do zaspokojenia wyrafinowanych potrzeb ówczesnego człowieka — na tle rewolucji społecznej i przemysłowej, na tle budownictwa i rosnącej potęgi kapitału.

Gdybyśmy jednak w tym miejscu próbowali z naprowadzonych elementów scalić obraz marzeń, jakim poddawały się dziewczęta „fine-de-sièclu”, byłby to lichy oleodruk i nic więcej. Prawda tego życia, jego serdeczny motor, jego wstrząsy i rozdarcia, leżą gdzie indziej. I głębiej.

Leżą we krwi.

Witany strzelającymi butelkami szampana wiek XX zastał na swojej drodze dwie twarze, uczuciowo bardzo do siebie zbliżone a reprezentujące zasadnicze kierunki gasnącej epoki. Jak już wiemy, jedna z nich wyrażała zmęczenie, skłonność do rozpusty i subtelnych wzruszeń, druga natomiast — fanatyzm, ukochanie koturnu i bohaterskich kulis. Ale procesy dynamiczne dziejów nie kierują się głosami masek ani wskazaniem scenicznych kreacji, pędzone są bowiem żywą, serdeczną krwią. I dlatego drogę naszemu stuleciu nie wyznaczyły zjawiska wtórne, jak orientacje ideowe lub estetyczne, lecz ich energia — *wspólna im, formująca siła*. Drogę naszemu stuleciu wyznaczył syfilis.

Nie trzeba nikomu tej smutnej prawdy narzucać lub sugerować; gdy się jednak szuka przyczyn moralnej katastrofy XX wieku, nie można pominąć jednej z ważniejszych: fizycznego zdrowia naszych rodziców, organicznego dziedzictwa, chemicznych składników naszej krwi.

Wystarczy przejrzeć jakąkolwiek publikację dotyczącą syfilisu, aby się przekonać do jakiego stopnia choroba ta zaciążyła na naszym życiu. Nie chcąc nużyć cyframi, ograniczę się tylko do informacji, że już ok. r. 1890 nie było w Europie środkowej ani jednego prawie większego miasta, którego by ilość dotkniętych tą zarazą nie sięgała 30% męskiej ludności, przy czym miasta takie jak Berlin, Hamburg lub Paryż wykazywały 50% chorych na syfilis. Wszystkie wyprawy napoleońskie były jedną wielką kilą a porewolucyjna wolność obyczajowa carmagnolą spirichetów.

Widziany stąd wiek wolności i idei traci nagle w oczach naszych cały urok, jego zrywy zaś i marzenia przechodzą po nas zimnym dreszczem.

Trudno uzmysłowić sobie całą zgrozę takiego istnienia, całą potworną makabrę tej choroby i jej rujnącą siłę. Człowiek gnął dosłownie na

oczach najbliższych i trwał długie lata jako zniekształcona kupa śmierdzącego, ropiącego ścierwa. Trzeba wiedzieć, że wytworna peruka i rękawiczki rokoka to nic innego jak dekoracyjne okrycia łysych z powodu syfilisa czaszek i owrzodzonych rąk. Stosowanie rtęci i bizmutu przyniosło wprawdzie ulgę, środki te jednak ślepo dozowane prowadziły do masowej śmierci wskutek zatrucia, w wypadkach natomiast „racjonalnego” leczenia zjawiał się po latach tabes lub zmiękczenie mózgu. I tak kwitły bogate odmiany obłędu.

Strach wypełniał duszę człowieka XIX wieku. W opowiadaniu p.t. „Lui”, naznaczony syfilisem Maupassant, kreśli stan ducha człowieka, którego w oczekiwaniu nieuniknionych następstw schorzenia męczą upiory i widma; oto jedno zdanie: „Ogarnia mnie lęk przed sobą; boję się; boję się urojonych obrazów mego ducha, które mogłyby mnie zamroczyć; boję się okropnych doznań zagadkowego, nierozumnego strachu”.

Popisowa zatem sztuczność „przedmieścia naszego wieku” nie jest już tylko sprawą literackiej mody, gustu mieszczaństwa do wykazania się bogactwem przeżyć oraz poszukiwaniem łatwych efektów, banalnej zagadkowości, w pozbawionym fałszywych tajemnic oświeconym życiu. Pod wysoko zapiętą kamizelką tych czasów biło niespokojne serce; zatruty organizm wytwarzał chore nastroje, męczył nieustannym lękiem, przerażał torturą urojonych okropności, białą gorączką doprowadzał do rozpaczy. I to wszystko trzeba było dźwigać w zupełnym osamotnieniu, nie zdradzając się nikomu, poza lekarzem, ani słowem, aż do upadku, kompletnego rozkładu; bo panująca pruderia piętnowała dotkniętych „francą” i uważała, że „o tym się nie mówi”. Zarówno więc bohaterska niewola jak i znużenie były czymś bardzo realnym: ciężką „sekretną chorobą”, którą konwencjonalne kłamstwo zmuszało do ukrycia pod maską „Weltschmerzu” lub ideowej wyniosłości. Operetkowy fałsz mieszcuchów kazał widzieć w masce intrygującą grę, od której życie nabierało efektownych rzekomo barw. Kiepska literatura zaś zaopatrzyła ją w pretensjonalne słownictwo, tłumacząc zmiennosć „twarzy” metafizycznym niepokojem. A prawda zagłuszana skoczną muzyką oraz frazesami sięgała niekiedy szczytów jasnowidztwa — ludzkiej, tragicznej wielkości — w beznadziejnym zmaganiu z okrutną niedorzecznością losu. Nawet niezmordowana pracowitość schyłkowego mieszczaństwa przestaje być zagadką. Ta hyperenergia była w gruncie rzeczy nieszkodliwą jeszcze formą broniących się przed obłędem lutyków, którzy kończyli życie w kaftanach bezpieczeństwa. Nie ma w nowoczesnych czasach dziedziny ludzkiej pracy, ludzkiej myśli, po których nie błądziłyby cienie paralityków, trapione przez chore urojenia. Zatruta syfilisem krew, pruchniejący organizm człowieka, nasza biologia — wyważyły bramy XX wieku.

„O czym marzy dziewczyna,
Gdy dorastać zaczyna”?...

Biblijny Józef Tomasa Manna mówi: „Wer da traemt, der deutet auch und wer da deuten will, der muss getraemt haben”. Przytaczam to zdanie w oryginalne dlatego, że nie udało mi się przełożyć słowa „deuten”, które Mann używa zarówno w znaczeniu „tłumaczyć”, „komentować” jak i „sądzić”. Marzenia nasze to nie tylko tęsknoty ale i najgłębsze przekonania; świat naszych pragnień, którym przez porównanie osądzamy rzeczywistość. To opanujący nas opar myśli, wywołany tajemniczą przemianą chemicznych składników organizmu człowieka, nadający czynom naszym kierunek i siłę. To obsesja. Dlatego jeden z największych ludzi czynu, Lenin, by masie rewolucyjnej nie dać zastępnąć w ramach ustalonych form, wołał: „Musimy marzyć”! A klasyczny reprezentant świata marzeń, Goethe, powodowany analogiczną intencją, dowodził: „Musimy działać”. Życie nasze na jawie podsyte jest gęstwą pogmatwa-

nych snów, z których mroków wychodzimy wypełnieni ich kształtującą treścią.

W tej koncepcji logika i rozsądek nie mają większego znaczenia; rozum człowieka nie jest wcale jedynym a na pewno nie doskonałym pośrednikiem w pełnych emocjonalnego napięcia ludzkich konfliktach. Przyjąć raczej należy, że najłatwiej rozumieją się ludzie, których biologia wytwarza te same lub bardzo podobne związki chemiczne. Lub ci — i to jest prawdopodobniejsze — których pierwiastki chemiczne należą do tego samego rodzaju lecz różnej potencji, różnej energii, jak plus i minus w elektryce, i tylko ich połączenie powoduje harmonijny prąd zgody — jedności. Tak rozumując widzimy w Hitlerze, jak w każdej innej figurze, skupiającej na sobie entuzjastyczne uwielbienie masy, zbiornik substancyj, na których działanie jest pewne środowisko szczególnie wrażliwe, podatne i ujawnia skłonność do połączenia się. Poza wspólnotą ekonomiczną jedyna chyba racjonalna podstawa nacjonalizmu. Chodzi jednak o to, że szerszej pojęty interes człowieka wymaga unicestwienia związków chemicznych, procesów biologicznych, dynamizm których utrudnia istnienie innym połączeniom, innym rodzajom symbiozy. Wielkość bowiem i bogactwo naszego na ziemi istnienia wyraża się przez tworzenie takich możliwości, jakie odpowiadają współżyciu najbardziej odrębnym charakterom biologicznego świata — co w rezultacie sprzyja powstaniu ciągle szlachetniejszych odmian ludzkiego gatunku. Innymi słowy, nacjonalizm jest z natury swojej przeciwny kulturze; jest zaporą naszego rozwoju, postępu — jest ruchem wstecznym.

W tej koncepcji również — jak chce Ortega y Gasset — fatalizm nie oznacza biernego poddania się nadprzyrodzonym zjawiskom życia lecz wynika konsekwentnie z dziedziczności. W kołyszących się od rojeń głowach naszych matek żyły już potencjalnie wszystkie elementy tej zdemolowanej epoki, w której wypadło nam nie tyle żyć, co niesławnie umierać. Z chorych fantazji dziewczyn „fine-de-siècle” zrodzić się musiało przekrwione przeciwieństwo panującej naoczas rzeczywistości: tęsknota do świata fizycznego zdrowia, byczej tężyzny i nieskomplikowania. Sny te ziściły się do tego stopnia, że porzuciliśmy wszelkie skrupuły moralne, schamieliliśmy, wielbimy siłę miazdząca, pięść, prowadzimy coraz nowe wojny w coraz krótszym czasie — i pomnażamy rosnące szeregi luetyków. Bo wojna i syfils to stara, zażyła sitwa; przyczyna i skutek w dowolnych wariantach.

Musiał dziewczętom gasnącej epoki marzyć się krewki żreback, opięty w kombinezon, którego zaradność, siła przebojowa i moralne nieobciążenie predestynują znakomicie do roli zdobywcy. Lecz popłynęła za nim nieczysta krew, co jego siły żywotne oraz prostotę wypaczyła, pogrążając go w ciemną toń obłędu.

Dla ludzi dzisiejszego świata to żaden oczywiście problem; niegroźny jest syfils człowiekowi, który bił się w Warszawie, przeszedł obozy w Dachau czy Oświęcimiu, uciekł z Tremblinki lub Majdanka. Człowiek taki nienawidzi świata i życzy mu jak najgorzej. Lecz nas interesuje kwestia: „jak doszło do powstania tych zbornych stacyj męki ludzkiej”?

Prawda, że gdyby od trzymanego za mordę „tłumu” oddzielić szajkę zawodowych polityków, cynicznych spryciarzy, ciemnych planistów czy ideologów, wykołajeńców i „Raubritterów” kapitału, od których idą na nas ciągle nowe hasła, zbawienne myśli i gromkie wezwania — mielibyśmy do czynienia z olbrzymią kliniką, z zakładem niebezpiecznych paranoików. Ale syfils nie jest ani nie był zjawiskiem „elitarnym” lecz chorobą masy i dlatego przyjąć należy, że jesteśmy w piątym wieku kily, generacją na wskroś chorą, której zarażona krew wytwarza niszczącą energię naszego świata, naszego wandalizmu i wścieklej nienawiści.

Niech nas jednak nie zaślepia ta, jak sądzimy, logiczna choć smutna bardzo teza. Syfils jest również ojcem naszej genialności. Nasza mor-

dercza epoka jest także mistrzynią sztuk, nauk, budownictwa i organizacji. Komory gazowe i penicillina, bomby raketowe i telewizja, Hitler i Picasso, Einstein i Himler, Hollywood i... Warszawa. Niebo i piekło. Rozpaczliwe konflikty wewnętrzne dzisiejszego człowieka, jego skażona biologia, desperacka dusza, budzi zniszczenie i śmierć — i nad śmiercią odnosi wspaniale nierzadko zwycięstwa. Kondycja psychiczna, którą język niemiecki określa terminem: „Genie und Irrsinn”.

Nie trzeba zbyt bujnej fantazji, aby w tym wszystkim co na oczach naszych dokonał faszyzm doszukać się — nawet tam gdzie był on twórczy — ciężkiego obłędu. Bez względu na to czy z psychologicznego lub ekonomicznego punktu widzenia wykładnia taka wyda się komuś zbyt łatwą. Nie można bowiem przeczyć, że mityczne okrucieństwo, megalomania, bezduszny fanatyzm, skłonność do heroicznego gestów, nadęta frazeologia, chamstwo, napastliwość i rozwydrzenie sycone gorączką gniewnych uniesień — że te cechy, wspólne całej naszej zbiorowości, cuchną syfilisem. Po prostu za duża deformacja, nazbyt harmonijny zespół najgorszych właściwości duszy ludzkiej aby je normalny człowiek wyholubił i konsekwentnie nimi żył. I nie trzeba być pesymistą, ani nie trzeba sprzyjać Niemcom aby rozumieć, że ich system życia jest nie tyle własnością niemieckiego narodu, ile rozcieńczoną krwią naszej epoki. Może więc leczenie Niemców, o czym niedawno pisał Ilija Ehrenburg, zacząć od szprycy? Ale czym ją wypełnić? Wszystkie środki okazały się mało skuteczne a na dłuższy dystans wręcz szkodliwe. W głosnej książce Brunolda Springera, „Die genialen Syphilitiker”, czytamy: „Syfilis nie tylko istnieje nadal... lecz bezustannie rośnie; rośnie tak niesamowicie, że już co najmniej każdy czwarty człowiek, że niektóre głowy państwa i ludzie decydującej władzy, że co 25 noworodków i pokaźna ilość dzieci w szkolnym wieku, są syfilytami”. Książka Springera ukazała się ok. r. 1930. O tym co dzisiaj się dzieje — nic nie wiemy lub bardzo mało. Wojna zbliżyła nam mnóstwo innych problemów o doraźniejszej sile i znaczeniu.

Życie seksualne człowieka zacieśnia się dokoła nas jak groźna zagadka, której rujnący zasięg odkrywa coraz nowe niebezpieczeństwo. Toteż wiara poetycka Przybyszewskiego, „Na początku była chuć”, oraz panseksualizm Freuda, nie rażą dzisiaj zbyt jednostronnością. Widzimy w tych próbach ogarnięcia atakującej nas tajemnicy, wytężony wzrok ciężko doświadczanej ludzkości.

Człowiek jest częstką tych samych żywiołów co ogień i woda i jak ogień i woda pędzony jest tajemniczą regułą nieznaną przeznaczeń. Dopiero przemiana naszych chemicznych właściwości, dopiero światło opanowanie biologicznych procesów naszego dynamizmu, *rafinada krwi*, oznaczy przejście ludzkiego życia w epokę dojrzałości i duchowej równowagi. Ale tego nie dokona ani polityka ani wojsko i to skłania nas do pesymizmu. Tylko naukowa organizacja świata mogłaby wyrwać człowieka z ewolucyjnego zastoju — degeneracji.

Trudno mieć żal do dziewczyn „fine-de-sièclu”, że nam wymagowały to upiorne życie. Sny ich, tęsknoty i marzenia płynęły z tej samej krwi, która krąży i w naszych żyłach. Kto wie jaki los czeka potomków dzisiejszej rzezi, na których chore dziewczęta nasze przeniosą zgrozę swych doznań i niezatartych przeżyć. Zresztą, kto się o to troszczy? Ludzie o syfilytycznych duszach są dziś potrzebni. Po obu stronach frontu.

Chory świat. Świat, którym nie rządzi już człowiek lecz paraliż postępowy. To on — paraliż postępowy — rzuca nas z jednego szpazmu w drugi, to on mówi przez nas zapłutym gniewem lub obłędnym patosem, to on nas wzywa do codziennej zbrodni, na ołtarzu nierozumnych idei, wiecznej nienawiści, kłamstwa i niewoli. Szalowcy opanowani przez strach i groźne koszmary — wędani nieludzkiej furii niszczenia.

„Próżno w blaszanych puszkach drżącymi palcami drzesz maski
Człowieku, któryś przez całe życie maskował swą twarz,
W gumowych szlauchach nie znajdziesz ni tchu, ni tlenu, ni łaski,
Łaska jest tylko u mnie, łaską jest tylko gaz.”

Tymi słowy wieścił nadszyciągającą wojnę Józef Wittlin. Nie pomylił się. Do napęczniałych ludźmi komór gazowych wchodziła śmierć, jak Łaska i, skracając męki nieszczęśliwym, uwalniała — od maski i krwi.

STANISŁAW ILEWICZ

ORANIENBURG — ALDERNEY — KORTENMARK *

(Rozdział II)

SPOWIEDŹ

Kończył się lipiec 1940 roku. Dni były upalne, żar przepalał, zdawało się, głowy. Nie mieliśmy czapek, ogoleni do skóry, cierpieliśmy na skutek upału. Większa część miała spuchnięte głowy, twarze, tak mocno, że nie widzieli na oczy, które skryły się w grubych fałdach opuchliny. Musiano ich na apele prowadzić. W zatrwazający sposób puchły nogi i ręce. Całe ciało pokryło się wstrętnymi wrzodami, niektórzy mieli 30 - 49 sztuk. Ogromnie zaślabiśmy a mimo to musieliśmy całymi dniami stać, roliwać, skakać.

Pewnej soboty Willy zapowiedział, że w obozie jest kaplica; kto chciałby się spowiadać może to uczynić jutro w niedzielę. Rano odbędzie się nabożeństwo. Ponad 100 ludzi wyraziło ochotę. W niedzielę już tylko 20, w tej liczbie 6-7 księży nie zrezygnowało, mimo, iż powiadano sobie na ucho, że to niebezpiecznie, Willy jest komunistą, nie lubi tego.

Koło godziny 9 miało się rozpocząć nabożeństwo. Blokowy ustawił nas pod ścianą, okna kazał pozamykać, a w środku ustawili się chętni do spowiedzi. Willy usiadł na krześle, mając w ręku ogromną i grubą łagę. Przymknął oczy. Po dłuższej chwili otworzył je i powiedział: — W tej chwili rozmawiałem z Bogiem. Kazał mi zrobić z wami „rollen”. Pół godziny tarzali się po podłodze tam i z powrotem.

Okna były pozamykane, kurz, gorąco. Niektórzy jęczeli, wymiotowali, tarzali się w tych wymiotach. Willy nie podnosił się z krzesła. Siedział, czekając aż każdy kolejno podtoczy się do niego. Wtedy uderzał łagą. Spokojnie, bez gniewu, jakby w zamyśleniu. Głuche tępe uderzenia w głowy, jak w ścianę, jak w mur. Coraz mocniejsze jęki i coraz mocniejsze i szybsze ciosy. Ustają, nie mogą!... Willy podnosi się z krzesła i teraz chodząc wzdłuż tarzających się ciał bije z całym rozmachem. Wchodzi SS-man, jeden z tych spokojniejszych. Twarz ma uczciwą, szczerą i naprawdę sympatyczną. Bardzo ładne usta i oczy...oczy czyste, łagodne. Zwraca się zapytaniem do blokowego. Ten mu tłumaczy. SS-man kiwa ze zrozumieniem głową i patrzy. „Spowiedź” idzie dalej. Byliśmy pewni, że SS-man przerwie. Gdzież tam! Ludzie już naprawdę nie mogą. Starokatolicki ksiądz nie wytrzyma. Zrywa się z ziemi, wybucha głośnym, dziecinnym płaczem i krzyczy do SS-mana: — ja już nigdy nie pójde do spowiedzi, nigdy, nigdy!... — milknie, uderzony kilka razy w twarz. SS-man wskazuje mu, by się kładł. Leżącego uderza kilkakrotnie ciężkim, saperskim butem w twarz. Willemu złamała się tymczasem łaska, więc kopie butami. Na podłodze jest już dużo krwi. Duży, gruby T.B. z Lublina, tłumacz okrętowy, nie może już wytrzymać. Sapie, jęczy boleśnie,

* Por. — Rozdział I i wstęp w Nr. 4/45 „Nowej” Polski”

placze. SS-man staje mu na brzuch. Słychać wyraźnie jak brzuch gra, naprawdę słychać dźwięki. SS-man hušta się, jak na materacu.

Blokowy przerywa rolowanie. Pędem biegną do umywalni i w ubraniu stają pod zimny prysznic, który ich orzeźwia, przyprowadza do przytomności, ale trwa za długo, gdyż po kilkunastu minutach zaczynają dygotać jak w febrze. Blokowy pędzi ich na dziedziniec. Skoki w przysiadzie aż do momentu, gdy nosami dotykają ziemi, padają, podnoszą się i znowu padają.

Są brudni, oblepieni miałem węglowym, chwieją się na nogach, pokrwawieni, wyglądają śmiesznie. Ale nam nie chce się śmiać. Tańczą, trzymając obie ręce w górę, obracają się szybko coraz szybciej, zawsze w jedną stronę, szybciej — schnell! — ryczy Willy i wpada między nich. Tempo się wzmacza, ale na krótko, bo już nie mają siły, bo tłumacz już leży bezwładny, badany troskliwie butem SS-mana. Pada komenda — halt! — i wszyscy zatrzymują się — padając na ziemię. Zawrót głowy. Inni trzymają się, kiwając się w jedną i drugą stronę i daremnie próbując utrzymać równowagę. Blokowy łaskawie pozwala im odpocząć — w przysiadzie. Więc siedzą — są na wpół żywi. SS-man i Willy obchodzą ich, przyglądają się, poprawiają butem pozycję, równają, podnoszą kopnięciem pod brodę — głowy do góry — „Kopf hoch! — ryczy SS-man. Szczególnie troskliwie poprawiają księdza K., który właśnie zupełnie poprawnie trzyma się w przysiadzie i mimo zmasakrowanej twarzy, patrzy prosto przed siebie. Więc stoją nad nim. Uderzeniami ciężkich butów w plecy prostują go, gdy głowa opada mu pod ciosem na pierś, podnoszą tę głowę również butem do góry. Czasem pada pod ciosem twarzą do ziemi lub plecami. Wtedy obydwa szybko z ogromną wprawą kopią go nogami w brzuch, głowę, twarz. Ksiądz K. szybko, bardzo szybko się zrywa i jak gdyby nic siedzi. Tylko gwałtownie się wznosząca i opadająca pierś świadczy o jego stanie. Długo się nim zajmują,

długo go biją. Są już zmęczeni. Jak on musi być zmęczony!

Ksiądz K. jest szczupły tak pod pięćdziesiątkę, ale twarz ma młodą i bardzo młode oczy. Takie same ma SS-man i dlatego tak bije butami w te oczy. Pragnie je zamknąć! Księdza twarz jest pokrwawiona, zmęczona, ale mimo ran, krwi rozmazanej, jest jasna, jakby uśmiechnięta. Patrzy bijącym w oczy, ale krótko, przelotnie, ja to widzę i zaraz gdzieś ucieka oczami przed siebie. Gdzieś daleko!...

A gdy odchodzą wreszcie od niego, wstrząsa się, jakby coś zrzucił z siebie, twarz przez jeden błysk światła drga mu skurczem i zamyślony siedzi.

MY JUŻ STĄD NIE WYJDEMY

Pięć tygodni nie paliliśmy tytoniu. Pięć tygodni żyliśmy życiem odrębnym, życiem w zupełnej izolacji, nawet od reszty obozu, nie mówiąc już o świecie poza drutami. Zaczęliśmy obojętnieć, nie reagovaliśmy na ból innych, bez wzruszenia patrzyliśmy na konających, stawali się bydlętami.

Z tego stanu zobojętnienia wyrwani zostaliśmy, gdy przywieźli do kwarantanny transport t.zw. toruński. Mieli oni numery, zaczynające się od 27-mego tysiąca. Przywieźli trochę wiadomości ze świata. Większość tego transportu składała się z nauczycieli, studentów i uczniów szkół średnich. Większość ta nie mogła przeważnie normalnie siadać, gdyż obici byli tak dokładnie, że ciało mieli czarne, ropiejące rany, które nie chciały się goić. Wśród nich najdokładniej obity był średniego wzrostu i bardzo silnej budowy mężczyzna. Miał tęgi, byczy kark, ręce jak łopaty i potężną głowę. Jedną rękę miał złamaną, gdyż ściągał nią oznakę hitlerowską z ratusza toruńskiego. Ten oddany był specjalnej pieczy SS-manów i blokowego. Blokowy był ongiś zawodowym bokserem i nosił zielony trójkąt, co oznaczało, że jest pospolitym przestępcą. Nazywano ich „Bevaerzy” skrót B.V. od Berufs Verbrecher — zawodowy

przestępca. Blok ten mieścił się naprzeciw naszego bloku w odległości 4 metrów.

Cały transport toruński poddany został intensywnemu przeszkoleniu, które polegało na „sporcie”. My mieliśmy w tym czasie „pauzę”, więc mogliśmy bezpłatnie, że tak powiem oglądać sztuki, które nami wyprawiano, ale których nie mogliśmy przecież sami oglądać, bo byliśmy aktorami. Teraz byliśmy widzami. Program był normalny, więc po jakimś czasie znudziło to nas a nawet gorszyło, gdy któryś z młodszych nie wytrzymał nerwowo — (zapomnieliśmy już o sobie) i począł wyc — tak jest wyc, nie krzycheć.

Ów toruńczyk z byczym karkiem i złamaną ręką, robił wszystko sprawnie, a gdy otrzymywał cios od blokowego-boksera w szczękę, padał na ziemię, by w sekundę już znowu stać na nogach. Blokowy wziął go extra na ćwiczenia. Kładł ławkę, kazał mu czołgać się po dziedzińcu i przelażyć na brzuchu pod ławkę. Gdy toruńczyk wczołgał się i głowę miał po drugiej stronie, blokowy stawał na ławce, przyciskając ją do ziemi. Wyglądało to niesamowicie: z jednej strony ławki wystawały nogi i część korpusu; środek był przykryty ławką, z drugiej strony głowa. Wyglądałoby to komicznie, gdyby nie ból. Twarz wystająca spod ławki była sina, oczy zupełnie na wierzchu i rozpaczliwe wierzganie nogami. Wierzganie to było coraz szybsze, przechodziło w jakiś szaleńczy, obłąkany takt, by po chwili słabnąć, zwalniać. Dusił się. Wtedy blokowy kończył. Nie dał mu długo odpoczywać. Zawieszał na złamaną rękę wiadro z wodą, na głowę zakładał mu niby hełm miednicę, do zdrowej ręki pakował szcztokę na długim kijku i kazał tańczyć. Toruńczyk wyglądał przerażająco. W czasie tańca miednica spadała na ziemię, a wtedy blokowy nakładał mu ja z taką siłą, że innemu czaszka pękałaby. Złamana ręka pod ciężarem wiadra zwisała bezwładnie, a wtedy blokowy wyjmował mu ze zdrowej ręki szcztokę i walił

nią na oślep, nie omijając chorej ręki. Z kolei zdejmował z niego utensylia, kazał mu się oprzeć brodą o kij szcztoki i szybko obracać się w jedną stronę. W pewnej chwili blokowy krzyczał dość, toruńczyk stanął i momentalnie padał na ziemię. Musiał to powtarzać, ale chociaż był bardzo zmęczony, już nie padał. Miał końską siłę!...

Na drugi dzień odbyło się to samo. Na trzeci do programu dodał blokowy jeszcze przysznic i już były dwie ławki. Toruńczyk musiał biec, a gdy doleciał do ławki, padał, wczołgiwał się i następował przycisk. To samo z drugą ławką. O normalnym biciu nie trzeba mówić. Po tygodniu toruńczyk wyglądał bardzo mizernie, zęby prawie wszystkie wypluł, a blokowy zmęczył się. W oczach jego malował się brutalny podziw, który wreszcie nawet u niego zmienił się w rodzaj współczucia. Toruńczyk, rozmawiając z nami mówił twardo: — ja wytrzymam. Wytrzymam, mówił, chociaż mu ręka puchła, chociaż twarz była zmasakrowana.

Przychodzili na ten sport z toruńczykiem SS-mani. Wtedy i blokowy dziwnie się jakoś krzywił i wtedy ciężko było. I nam patrzącym i delikwentowi. Tak mijają dni. Toruńczyk żył; SS-mani przychodząc, pytali: — żyje ten pies jeszcze?... Pies żył. Ale jednego dnia przed blok zwała się kupa SS-manów z aparatami fotograficznymi. Otworzono drzwi ustępu. Toruńczyk wisiał. SS-mani przyszli zrobić zdjęcie, tego — który świętokradzką ręką zdarł swastykę, a teraz tu w Oranienburgu powiesił się. Blokowy za często słyszał wyrzutgroźbę: czy żyje ten pies — blokowy rozumiał się na rzeczy i by raz wreszcie skończyć, powiesił toruńczyka przy pomocy innych więźniów, Niemców. Wszystko było w porządku. Czy tak, czy inaczej, toruńczyk mimo wiary, że wytrzyma — nie wytrzymałby. Jeszcze tydzień jeszcze dwa i musiałby ulec. W obozie znajdowali się zawsze ludzie, których los był przesądzony. Jeśli istniały wątpliwości, to tylko co do czasokresu.

Na kwarantannie do takich ludzi należeli Żydzi. Żydzi z Niemiec — byli to przeważnie bankierzy, kupcy, przemysłowcy, lekarze, uczeni — w ogóle elita żydowska. Oni zdawali sobie sprawę z rzeczywistości. Kiedy rozmawialiśmy z nimi mówili spokojnie: — my stąd nie wyjdziemy. Wiedzieli, że to ich grób. A jednak dopóki żyli robili, co się da, by to życie podtrzymać. Ludzie twardnieli. Trupy wynoszono z obojętnością z jaką rzeźnicy wynoszą ćwiartki krowy. Mięso. Adwokat Rz. z Warszawy niósł w skrzyni trupa z drugim towarzyszem Żydem, adwokatem z Berlina. W drodze do krematorium postawili skrzynię i począłi rozmawiać. Adwokat z Berlina westchnął, że dzisiaj właśnie jego urodziny, a on... Rz., który „obserwował” owe konwenanse towarzyskie, natychmiast złożył życzenia berlińczykowi i uściśnęli sobie nad tą paką z nieboszczykiem dłonie — a że stali po obu stronach skrzyni, więc z daleka wyglądało to, jakby nad tą trumną ślubowali..., przysięgali i uściskiem dłoni pieczętowali ten ślub.

Żydów było w obozie znacznie więcej. Ale przed nami jeszcze, w zimie 1939-40 roku zamarzło ich jednej nocy około 300. Stali jakieś 30 godzin na dworze, wśród trzaskającego mrozu za karę, bo jeden z więźniów uciekł. Uciekł tylko na owe 30 godzin, bo ucieczka z obozu była niemożliwa. Nikt też za mojej bytności nie uciekł, poza jednym, jedynym wypadkiem. Żydzi byli na wymarcu. Zresztą nie oni jedni. Przed nami blok zajmował transport warszawski. Był wśród nich piosenkarz Faliszewski. Wyjechali do kamieniołomów do Linzu. Praca tam była ciężka i tylko przypadek pozwalał stamtąd powrócić do obozu. Przypadek to kalectwo. Dużo z tego transportu zmarło. Był też na krótko przed nami transport, wśród którego znajdowali się profesorowie uniwersytetów polskich. Duża ich liczba nie wytrzymała tego życia. W obozie trzeba było być życiowym, czy raczej bezczelnym aż do zuchwalstwa. Trzeba było ustawicznie organizować: jedzenie, ubranie, robotę. Pod tym terminem,

czysto obozowym, niemieckim kryło się: prosić, wymieniać, kraść, kupić, oszukać kogoś i t.p. Trzeba było szybko, jak najszybciej przystosować się do nowych warunków życia, do nowej sytuacji.

Profesorowie, ludzie intelektu, ludzie nauki, badający drogi planet, szukający rozwiązań z dziedziny kultury, uważający, że praca badawcza w laboratoriach, pracowniach chemicznych, praca niosąca ludzkości światło wiedzy, umniejszająca ból i nędzę istnienia — to jest przecież, to było przecież ich zadanie. A tu nagle, wtłoczeni w dżunglę, zepchnięci na samo dno nędzy — dowiedzieli się, że łyżka, menażka, koc dobrze złożony, szyba oczyszczona kawalkiem gazety, metalowe części w klozecie — oto kryteria w myśl religii Hitlera. To decyduje o istnieniu życia ludzkiego. Dziwili się — dziwili się, gdy podchodząc do kotła, nie dostali tej odrobiny zupy, która mogła podtrzymać ich organizm, bo inni, silniejsi fizycznie, bezczelniejsi i bezwzględniejsi już „zorganizowali” ową zupę. A oni czekali spokojnie, skromnie... Dziwili się zbyt długo, a gdy przestali się dziwić, to już byli słabi. Słabi a mimo to mocni w postanowieniu nie organizować! Więc...ginęli... Wpatrzonym w jasność i blask prometejski, wpatrzonym w światło Nauki odkrywającej Prawdę — kazali patrzeć w blask wypucowanych kurków mosiężnych w ustępie.

Na zagładę skazani byli Żydzi. Kiedy przechodzili obok nas, serca nam mdlały. Większość z nich była kalekami. Ręce i nogi odmrożone, owinięte w jakieś szmaty, niezagojone a zgnojone rany, otwarte żywe mięso — oropiałe, cuchnące... Kiedy tak szli, człapiąc drewnianymi butami, odsuwaliśmy się od nich — śmierdzieli.

Kończyliśmy kwarantannę. Byliśmy zmęczeni, oszołomieni tym życiem i jego szalonym tempem i chociaż zapowiedziano nam, że pojedziemy do kamieniołomów w Linzu — nie baliśmy się. Byle wyrwać się z kwarantanny, byle poza obóz!...

W tym straszliwym życiu, nie mieliśmy czasu na żal, tęsknotę, za mgłą widzieliśmy obrazy naszych najbliższych, nie wzruszała nas śmierć innych. Parę tygodni, a jak to dawno!...

Wieczorem już wiemy. Nie jedziemy narazie do żadnego Linzu,

idziemy do dużego, właściwego obozu, który oddalony jest od nas 100-200 metrów. Sumujemy nasze dotychczasowe przeżycia, obliczamy ilu dotąd zmarło — żegnamy się z księżmi, którzy mają wyjechać do Dachau — żegnamy się z Żydami którzy tu mają umierać. *d.c.n.*

MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI

HISTORIA JEDNEGO AEROKLUBU

Pamiętny to jest dla mnie wieczór, gdy po skończeniu pięciu szkół lotniczych w Anglii i Ameryce wreszcie londyńskim pociągiem podmiejskim dojeżdżałem do stacyjki w hrabstwie Hampshire celem zameldowania się w operacyjnym polskim dywizjonie. W armii lądowej przyjazd do nowego oddziału oznaczał zwykle przejście przez gehennę kancelaryj, odpraw, zbiorów, raportów. Teraz samochód wyrzucił mnie przed dużym barakiem dywizjonowego kasyna. Na kominku palił się tam ogień — wieczór był jesienny, na dworze wilgotny i chłodny — w zacisznym ciepłym barze dźwięczało wesoło szkło, kilku dystygowanych starszych panów oraz grono młodzieńców w granatowych ubraniach rozmawiało półgłosem. Siwowłosy pan o czerstwej twarzy i młodym spojrzeniu powitał mnie po prostu zapytaniem: Czego się napiję? Towarzyska swobodna rozmowa potoczyła się dalej. Zauważyłem, że siwowłosy starszy pan nosi odznaki stopnia polskiego majora oraz angielskiego podpułkownika, oraz że z młodymi podporucznikami jest po imieniu. Jeszcze dwa lata temu gdy opuszczałem armię, było w niej powszechnie przyjętym, że porucznik z kapitanem, choćby mieli za sobą kilka lat wspólnej służby, mówili sobie oficjalnie „przez pan”. Rozejrzałem się po sali: zielone stoliki, wygodne klubowe fotele, miły nastrój nieróbstwa, usłużny barman w białym kitlu. I to ma być oddział frontowy, walczący? Wieczór minął przyjemnie. Gdy rozchodziliśmy się spać, zagadnałem któregoś z nowych kolegów: „O której godzinie jutro rano będę mógł się zameldować przy raporcie u dowódcy dywizjonu?” Otrzymałem odpowiedź:

— Przecież pan już poznał majora Orlińskiego, to ten, który panu postawił pierwsze whisky. Poza tym u nas raportów nie ma. Ani zbiorów, ani defilad! No i śpimy wszyscy do południa.

Miałem miłe wrażenie, że nie zostałem przydzielony do oddziału wojskowego na froncie, ale że po prostu przyjęto mnie do miłego klubu. Potem przekonałem się, że nie jest to zwykły klub, ale, po pierwsze, klub nocny, po drugie, aeroklub. Program dnia członków był bowiem następujący. Wszyscy spali do obiadu. Popołudnie spędzało się bez określonego zajęcia. Natomiast wieczorem klub się ożywiał, członkowie zjawiali się w kasynie i czekali jednego z dwu krótkich ale magicznych zdań: „Stand down” lub „Stand by”. Kto je pierwszy wymówił? Nigdy tego nie mogłem zbadać. W każdym razie kto je pierwszy usłyszał komunikował natychmiast sąsiadom jak przy zabawie w cenzurowanego. Jeśli padło słowo „stand down” wszyscy się rozchodzili: jedni szli do baru, inni zasiadali do bridge’a, inni jeszcze wsiadali do samochodów i udawali się do pabu w pobliskim miasteczku. Jeśli padło słowo „stand by” członkowie klubu zbierali się w specjalnej obwieszanej mapami sali klubowej, zapadali w wygodne fotele, wyciągali wysoko nogi przed siebie i słuchali plotek, które im znosili przyjaciele klubu: na temat pogody, co słychać w Niemczech, jak się miewają armie Montgomery’ego. To posiedzenie

wieczorne aeroklubu nazywano z angielska *briefingiem*. Potem ktos z członków aeroklubu od czasu do czasu wychodził z pokoju, wsiadał do Moskita i na parę godzin wylatywał nad Niemcy. Oczywiście jak na klub przystało nie było mowy o locie w formacji, pod czyimś dowództwem. Załoga każdego Moskita, złożona z dwu gentlemenów, leciała sama, na ogół którzy chcieli i dokąd chcieli. Zwykle klubowcy latali nad Niemcy, specjalnie nęcił ich urok doliny Renu i Ruhry w świetle księżycy. Jednym słowem zostałem członkiem aeroklubu.

* * *

Jego oficjalna polska nazwa brzmi: 305 Dywizjon Bombowy Ziemi Wielkopolskiej imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego.*) Oczywiście ta złożona z dziewięciu słów nazwa jest zbyt skomplikowana dla naszych sprzymierzeńców, toteż w organizacji Królewskich Sił Powietrznych dywizjon zowie się krótko: 305 Polish Squadron. Powołany został do życia rozkazem datowanym w Blackpool (tej historycznej bazie lotnictwa polskiego w W. Brytanii) pierwszego września 1940 r. — a więc w czasie, kiedy bitwa powietrzna o Wielką Brytanię w pełni gorzała. Po kilku miesiącach szkolenia w hrabstwie Nottingham, pierwsze załogi startują do lotu bojowego w nocy z dwudziestego piątego kwietnia 1941 r. — którego to dnia rocznica będzie odtąd dorocznym świętem dywizjonu. Zadaniem bojowym tej pamiętnej dlań nocy było zbombardowanie zbiorników materiałów pędnych w holenderskim porcie Vlissingen, notabene dobrze znanym Polakom, którzy przed wojną podróżowali na trasie z Warszawy do Londynu. Ten pierwszy lot był stosunkowo łatwy: nie długi i nad terenem nie najsilniej bronionym. Następne tygodnie i miesiące przynosiły dywizjonowi loty coraz cięższe. Leży przede mną zestawienie miast niemieckich nad które w ciągu następnych lat wojny doleciały samoloty dywizjonu — niemal nie braknie na nim jednego większego miasta Niemiec. Dywizjon bombardował po wielokroć Düsseldorf, Duisburg, Dortmund, Akwizgran, Saarbrücken, specjalnie zawiązał się na Kolonię, pastwił się nad Essen, odwiedzał Stuttgart i Karlsruhe, nie zapominał o Hanowerze, Osnabrück i Kassel, wziął udział w czternastu wyprawach na Hamburg, dwunastu na Bremę, jedenastu na Emden, bombowce jego dolatywały do Rostoki i Szczecina. Lotnicy dywizjonu mieli przyjemność, której nie zaznali nasi lotnicy we wrześniu: bombardować Berlin. Nawet raz polecili nad okupowany przez Niemców Paryż — nie wyrządzili jednak ani jego zabytkom ani ludności szkody, jako że tym razem zrzucali nie bomby ale ulotki. Przez Alpy dolatywali do Turynu, tam jednak zrzucając na fabryki samolotów i czołgów już prawdziwe bomby.

Trzon personelu latającego dywizjonu stanowią w pierwszym okresie wojny zawodowi lotnicy z Polski, głównie oficerowie i podoficerowie z trzeciego i piątego pułków lotniczych — jedna z eskadr nosi też nazwę „Poznań”, druga „Lida”. Nie brak wśród nich znanych polskich lotników: ppłk. Skarzyński jest jednym z żołnierzy dyonu. To starsze pokolenie lotników polskich nie nauczyło się jeszcze angielskiego języka, jest jeszcze obce angielskiemu narodowi, żyje na zielonej wyspie własnym życiem emigrantów, wspomnieniami niedawnej wielkości swego narodu a także je mig małych sporów. Jakżeż zalatuje duchem koszar lidzkich ten spór o nazwę dyonu: Gromadce oficerów nie podoba się nazwa „imienia ziemi wielkopolskiej”, i podczas gdy nad Anglią noc w noc niemieckie bombowce zamieniają wielkie miasta angielskie w kupy gruzów, gdy losy świata są zagrożone, nie ma ona innego zmartwienia jak walczyć z Rubensem o przewanie dywizjonu na „imienia marszałka Piłsudskiego”. Typowo polski, jakżeż typowo emigracyjny spór będzie się ciągnął lata, pełen rzewnych, patetycznych, rejtanowskich scen. Wreszcie wódz

*) Dnia 25 kwietnia b.r. minęły cztery lata od dokonania przez dywizjon 305 pierwszego lotu bojowego.

naczelną spór rozstrzygnie kompromisem. Lotnicy zginą w ogniach Ruhry i wodach Morza Północnego. A dywizjonowi pozostanie dziewięciosłowna niezyciowa nazwa.

W międzyczasie bowiem przyszło nowe pokolenie lotników. Ochotnicy z szerokiego świata, Polacy z Argentyny i Brazylii, Kanady, Amerykanie polskiego pochodzenia ze Stanów Zjednoczonych, nieraz między sobą mówią po angielsku, w dywizjonie dopiero będą sobie przypominać mowę swych przodków. Jednym z nich będzie dziewiętnastoletni ochotnik z Chicago, Bronisław Godlewski, który w czasie wyprawy nad Ruhrę, z myśliwcem niemieckim tak długo uparcie będzie walczył, aż mu Niemiec odstrzelił obie ręce. Naczelną Wódz nada mu potem order wojenny.

W latach 1939 i 1940 ciężar prowadzenia wojny spada w głównej mierze na nasze wojska lądowe. W Polsce we wrześniu krwawi się około czterdziestu dywizji, we Francji i Norwegii w roku 1940 dwie dywizje i dwie brygady. Lotnictwo polskie jest wtedy stosunkowo niewielkie. Począwszy od jesieni 1940 r. sytuacja się zmienia: ciężar prowadzenia wojny przez polskie siły zbrojne poza krajem przenosi się na lotnictwo. W latach 1941, 1942 i 1943 straty naszego lotnictwa tak w liczbach względnych jak bezwzględnych, wielokrotnie przewyższają straty naszej armii lądowej i marynarki wojennej. W czasie kampanii libijskiej Brygady Karpackiej pada na pustynnych polach bitew pięciu ludzi na stu. Stan personelu latającego dywizjonu wynosi wówczas sześćdziesięciu ludzi. Lista strat w roku 1941 wyniosła sześćdziesięciu sześciu lotników, w r. 1942 zginęło ich sześćdziesięciu siedmiu. Rocznie straty wynosiły ponad sto procent stanu. Gdyby nie stały dopływ uzupełnień, dywizjon w pierwszym roku przestałby istnieć. W ciągu czterech lat wojny straty dywizjonu wyniosły 400% stanu.

Loty nad Niemcy wymagają wówczas wielkiej odwagi i wytrzymałości tak moralnej jak i fizycznej. Załogi musiały spędzać wiele długich godzin na wysokości kilkunastu tysięcy stóp nad ziemią, używając aparatów tlenowych, często nad morzem, wśród nocy, chmur i wicherów, w ciężkich powolnie lecących Wellingtonach, narażonych na ataki niemieckich myśliwców w drodze, a ogień zaporowy artylerii przeciwlotniczej nad celem. Gdy samolot został ugodzony pociskiem, szanse uratowania się załóg na spadochronach były niewielkie, w okresie czterech lat działań wojennych, zaledwie jedna osma lotników, którzy nie wrócili z operacji, zdołała uratować się w ten sposób. Zginął śmiercią lotnika w czasie lotu bojowego pierwszy dowódca dywizjonu, podpułkownik Jankowski. Niemniej niektórzy lotnicy co ratowali się na spadochronach zdołali uniknąć niewoli, z okupowanej Europy odbyć raz jeszcze długą wędrówkę na Wyspy Brytyjskie, powrócić do dywizjonu, i brać nadal udział w wojnie powietrznej nad Europą. A ci którzy uratowali się na spadochronach dostawali się do niewoli, nie tracili woli walki, ale usiłowali z niewoli zbiec. Niektórym się to udawało, innym nie. W dniu dwudziestego piątego marca 1944 r. w wyniku zbiorowej ucieczki lotników alianckich z jednego z obozów jeńców, Niemcy urządzili głośne już w cywilizowanym świecie morderstwo ujętych jeńców. Wtedy stracili życie dwaj lotnicy dywizjonu, porucznicy Pawluk i Kiewnarski. Wielekroć samoloty uszkodzone w czasie wypraw bombowych nie zdołały dotrzeć do wysp brytyjskich i musiały wodować w morzu Północnym. W latach 1941-1943 łącznie czterdziestu pięciu lotników dywizjonu wracając z operacji musiało wodować w morzu walcząc nocą wśród jego zimnych fal, o życie. Dziewięciu z nich nie zdołało się wyratować. Śmierć w Morzu Północnym znalazł i zdobywca Atlantyku, podpułkownik Skarzyński.

Zdawałoby się, że tak ciężkie straty dywizjonu wpłyną na upadek ducha. Stało się przeciwnie. Chęć walki przemienia się w pewnego rodzaju fanatyzm. Wydawało się, że każdy żołnierz dywizjonu pragnie zginąć za ojczyznę. Wymowny przykład tego daje postępek tłumacza dyonu,

porucznika Krasnowieckiego, przed wojną spokojnego prokurenta śląskiego koncernu handlowego, starszego pana, męża i ojca. Nie może usiedzieć za biurkiem gdy noc w noc koledzy giną. W godzinach wolnych od zajęć biurowych uczy się celować ze sprzężonych karabinów i potem na ochotnika dwukrotnie leci z wyprawą bombową nad Niemcy jako strzelec pokładowy załogi Wellingtona.

Naczelną Wódz często w tych latach odwiedza dywizjon, dekoruje lotników orderami *Virtuti Militari* i Krzyżami Walecznych. Przyjeżdżają i dziennikarze brytyjscy i amerykańscy. Dziennikarzom anglosaskim wszystko się podobało w dywizjonie, ale najczęściej piesek Ciapek, maskotka dywizjonu. Dziennikarze nie mogli się nadziwić, że ten mały piesek jest taki dzielny, że dotarł z bombowcami tam gdzie oni jeszcze wówczas nie dotarli: nad Hamburg, Kolonię, Bremę. „Latający pies” w fotomontażach obiegił całą prasę brytyjską — takiego prasowego powodzenia jak on, żaden lotnik polski w Wielkiej Brytanii nie miał! Dzienniki angielskie podały nawet szczegół, że mechanicy nadali mu stopień st. strzelca. To wywołało oburzenie w Szkocji. Nie wśród rodowitych Szkotów, ale wśród naszych wojsk lądowych tam wówczas stacjonowanych. Znalazł się st. ułan, który listem otwartym w prasie protestował: „Czytałem w Dzienniku Żołnierza z dnia 12.X.42 artykuł „Starszy strzelec Ciapek” i bardzo mnie to zgniewało. Bo jestem starszym ułanem i uważam to za znieważenie armii polskiej w ogóle, że się psom daje stopnie wojskowe. I to jak można wyczytać w gazecie wyraźnie, całkiem oficjalnie. Dlaczego się tego psa nie mianowało oficerem a tylko starszym strzelcem? Na pewnoby sobie panowie oficerowie takie wybryki stanowczo wyprosili, ale szeregowymi można poniewierać w ten sposób, bo nie ma się komu za szeregowymi ująć. A czy psy meldunkowe, które w ogniu nieprzyjacielskim meldunki przenoszą, kiedy zostały awansowane? Ja jeszcze o tym nie słyszałem i chyba jeszcze nie było takiego wypadku bo na pewno sobie pies zawsze kielbasę wybierze od papierka, który jego mianuje choćby generałem. Czy sobie z tego nie zdaje nikt sprawy przed naszymi aliancami? A wroga propaganda co na to powie? Czy to nie jest świetny materiał ośmieszania naszej armii, gdzie się psów stopniami obdarza?”

W ciągu zimy 1943 na 1944 dywizjon przechodzi reorganizację: stary sprzęt zastąpiono nowym, powolne Wellingtony Michellami a potem śmigłymi Mosquitami. Z punktu widzenia oszczędzania materiału ludzkiego zmiana była korzystną: Wellington wymagał sześciu lub pięciu ludzi załogi, Mosquito tylko dwóch. Przychodzi też nowa fala uzupełnień: żołnierze z armii lądowej ze Szkocji, Rosji, Libii przybywają by wspomóc lotników. Starzy żołnierze, którzy przeżyli niejedno bombardowanie Luftwaffe we wrześniu w Polsce, w roku 40-tym we Francji i Norwegii, potem w Tobruku, chcą teraz odplacić Niemcom pięknym za nadobne. Starzy koledzy, którzy walczyli razem pod Narwikiem i Gazalą teraz będą nie tyle ramię przy ramieniu, co raczej skrzydło przy skrzydle zażywać nowych wrażeń nad Niemcami.

W lutym 1944 r. pierwsze loty operacyjne na Mosquitach rozpoczynają nowy okres historii dywizjonu. Podlega on już teraz nie jak dawniej Dowództwu Bombowemu, ale nowoutworzonemu Dawództwu Taktycznego Lotnictwa (T.A.F.). Dotychczasowa nazwa dywizjonu — jako „bombowego” — odpowiada już teraz bardziej tradycji aniżeli rzeczywistości. Mosquito jest typem samolotu myśliwsko-bombowego, a zadaniem taktycznego lotnictwa jest zwalczanie nieprzyjaciela w rejonie frontu przy pomocy bombardowania oraz atakowania działkami i karabinami maszynowymi z lotu nurkowego. Na wiosnę 1944 r. dywizjon otrzymuje specjalne zadanie: niszczenia wyrzutni bomb latających, które Niemcy w tajemnicy budują w północnej Francji. Major Orliński, wsławiony ongiś rajdem Warszawa-Tokio, który wkrótce obejmie dowództwo dywizjonu, bombarduje kiedyś wyrzutnię bomb latających z lotu koszącego

tak nisko, że ziemia wpada do kabiny, nawet do nosa i uszu załogi, która po wylądowaniu w bazie ma twarze czarne niczym Murzyni. Potem w maju dywizjon rozpoczyna bitwę inwazyjną. Polega ona mianowicie na niszczeniu nocami komunikacji niemieckich w północnej Francji, w której wylądują armie Eisenhowera. W dzień to samo zadanie wykonują Tajfuny, Mustangi i Spitfire'y. Wreszcie wieczorem piątego czerwca a więc w przeddzień „Di day” na normalnej odprawie, przed lotem operacyjnym załogi dowiadują się wielkiej nowiny: za parę godzin rozpocznie się inwazja kontynentu. Tym intensywniej niszczą tej nocy komunikacje i miejsca postojów dowództw niemieckich w Normandii. W czasie następnych trzech miesięcy bitwy o Francję dywizjon pracuje pełnym wysiłkiem: załogi nieraz latają po dwa razy tej samej nocy nad kontynent. Praca dywizjonu sprowadzi się do wspomagania armii walczących przez niszczenie komunikacji na bezpośrednich tyłach nieprzyjaciela, bombardowanie dworców i torów kolejowych, mostów, pociągów, odwodów i wszelkich zaobserwowanych ruchów nieprzyjacielskich. Niezależnie od tego dywizjon otrzymuje zadania specjalne do wykonania w dzień, nieraz oryginalne, jak przystało na Mosquita n.p. zbombardowania szkoły sabotażystów w Chateau Maulny czy zniszczenia zbiorników z kilku milionami galonów benzyny pod Nancy, benzyny, która miała wspomóc czołgi i samoloty niemieckie biorące właśnie udział w decydującej bitwie o Francję.

Wojna przenosi się do Holandii i na linię Siegfrieda. Francja jest już wolna, toteż dywizjon otrzymuje rozkaz przelotu do nowej bazy na kontynencie, gdzieś w północno-zachodniej Francji. Dywizjon od końca listopada operuje już z tej bazy, głównym terenem jego działalności intruderskiej jest teraz północna Holandia oraz Ruhra t.zn. zaplecze armii niemieckich walczących na froncie dwudziestej pierwszej brytyjskiej grupy armii, w skład której wchodzi i polska dywizja pancerna. W grudniu von Rundstedt rozpoczyna swą rozpaczliwą ofensywę, marszałek polny Montgomery obejmuje dowództwo zagrożonego odcinka i teraz dywizjon 305 pracuje bojowo na rzecz armii amerykańskich, broniących „wyłomu” w Ardenach. O intensywności pracy dywizjonu świadczy najlepiej fakt, że w noc wigilijną maszyny dywizjonu latały na front dwukrotnie, noc sylwestrową również załogi spędziły nad pogrążonymi w śniegu Ardenami.

Z końcem lutego dywizjon bierze udział w największym dotychczas nalocie w historii świata. W dniu tym siedem tysięcy alianckich maszyn niszczy komunikacje w całych Niemczech jak długie i szerokie. Dywizjon prowadzony przez dowódcę, majora Grodzickiego, w składzie osiemnastu maszyn szykiem zwartym leci w rejon Hamburga i tam przez pół godziny atakuje pociągi, transporty na szosach, dworce kolejowe, barki na kanałach. Dziesięć maszyn wraca postrzelanych, w tym trzy maszyny na jednym motorze, jedna ląduje przymusowo w Niemczech.

W związku z przesuwaniem się frontu na Zachód, normalne loty załóg dywizjonu robią się coraz dłuższe, w marcu dochodzą już pod Berlin.

Straty dywizjonu są stale większe od nadchodzących uzupełnień, toteż w ciągu ostatniego półrocza powiększa się stale ilość załóg niepolskich, w wyniku czego dywizjon już tylko w połowie jest polskim a w połowie staje się międzynarodowym. Jakich narodowości nie było lub nie ma w dywizjonie? Mamy obecnie Estończyka i Norwega, Hindus dosłużył się u nas Krzyża Walecznych, mieliśmy chłopaków z wysp Bahama i Zachodnich Indyj, mamy dwie załogi Kanadyjskie, Walijszczyków, Szkotów i Anglików — wśród nich oryginalnego lorda. Już eskadry dywizjonu nie będą się nazywać „Poznań” ani „Lida”, ale po prostu literami alfabetu: „A” i „B”. Chłopcy z Kanady, Indyj, wysp Bahama nie bardzo wiedzą kim był marszałek Piłsudski, a młode pokolenie lotników polskich już tak daleko odbiegło od sporu brygadiera Piłsudskiego z pułkownikiem Sikorskim, że nawet nie wie co to był N.K.N.

Nie potrzebujemy dodawać, ile dzięki temu współzyciu lotników różnych narodowości przyjaźni międzynarodowych zrodziło się w dywizjonie. Nie raz się zdarzyło, że lotnik cudzoziemski odwoływany z polskiego dywizjonu do swego macierzystego lotnictwa, prosił by go u nas pozostawić. Wątpić można, czy wśród alianckich oddziałów walczących w drugiej wojnie światowej znajdzie się drugi, który w takim stopniu jak 305 dywizjon mógłby symbolizować solidarną współpracę zjednoczonych narodów. Stosunki panujące w dywizjonie potwierdzają zdanie H. G. Wellsa, że specyficzny zawód lotników bardziej zbliża ich do siebie, aniżeli oddzielają różnice narodowości, że lotnicy są zatem przykładem zgodnie współpracujących obywateli przyszłego, lepszego wellsowskiego świata.

Obraz wkładu dywizjonu 305 w wojnę nie byłby pełnym gdybyśmy nie podkreślili wysiłku i poświęcenia obsługi ziemnych. Im personel latający zawdzięcza w dużej mierze pomyślne wyniki w powietrzu. Ogółem biorąc mechanicy dywizjonów polskich zdobyli sobie w Królewskich Siłach Powietrznych wyjątkową pozycję. Podobnie zresztą jak mechanicy Polacy w zakładach Forda. To samo da się powiedzieć o opinii jaką cieszą się mechanicy dywizjonu 305 w Skrzydle angielskim, w skład którego wchodzi dywizjon. Oto przykład pracy naszych mechaników. Jednej nocy tej zimy Skrzydło otrzymało rozkaz polecieć na operację, mimo ciężkich warunków atmosferycznych, śnieżyca i obmarzania samolotów na ziemi. Samoloty innych dywizjonów Skrzydła nie mogły jednak wystartować do operacji, ponieważ stojąc nie w hangarach ale na polu były obmarznięte. Polscy mechanicy tak cały dzień obchuchiwali, szprycowali glikolem swe maszyny, że wieczorem wszystkie co do jednej były zdolne do lotu. Może nie jest przypadkiem, że angielski dowódca Skrzydła oddał swój operacyjny samolot pod opiekę mechaników polskiego dywizjonu.

LUCJAN BLIT

KOŃCZĄCY SIĘ POKÓJ

Ten nagłówek nie jest omyłką drukarską. Bo kończąca się wojna będzie dla wielu społeczeństw oznaczała kres wewnętrzznego zniszczenia broni, powrót do zmagaiń politycznych, ideowych, socjalnych, bez których marnieje i zanika prawdziwa demokracja.

Ośmio-milionowy Londyn w gruncie rzeczy mało się różni od tych dni, kiedy „nie zauważał” spadających na niego bezustannie wszelkiego rodzaju bomb niemieckich. Anglia ani razu nie rozpoczęła podczas tej wojny. Anglicy, jako naród tej neurozy nie posiadają. Ale nie ma też tej w niebo-bijącej radości, którą nam pokazywano w ciemnych salach kinowych w dniach oswobodzenia Paryża lub Brukseli. Bo Anglia jest zmęczona wojną, którą rozpoczęła jako tragiczny obowiązek i którą chce zakończyć i zapomnieć jak najszybciej.

Ale ten nastrój zmęczenia wojennego nie oznacza wcale — na szczęście dla demokracji na tej wyspie — obojętności w stosunku do jej przyszłości społecznej, lenistwa politycznego, aprobaty hasła „jedności narodowej”, co często jest tylko wygodną wymówką dla bierności społecznej. Wręcz przeciwnie. Odbyte w końcu kwietnia w Chelmsford wybory uzupełniające do House of Commons wykazały dobitnie, że obywatel angielski nie chce być tylko obiektem rządów, że nie ma zamiaru być posłusznym nawet wobec najbardziej uznanych autorytetów, że jego zdanie o sposobie rządzenia w okresie nadchodzącego pokoju będzie wyraźnie inne, niż było w czasie niebezpieczeństw wojennych. Warto się przyjrzeć bliżej rezultatom wyborczym w Chelmsford, które stały się słuszną sensacją wewnątrzno-polityczną Anglii nawet podczas tak dramatycznych

dni, jak ostatni tydzień kwietnia 1945 roku. Więc po pierwsze — wielki udział wyborców (prawie 70 proc.). Po raz pierwszy głosowali wojskowi — przeszło 6.000. Kandydował ze strony konserwatystów oficer, który miał za sobą oficjalne poparcie całej koalicji rządowej. Okręg wyborczy od pokoleń był domeną partii konserwatywnej, istną jej fortecą polityczną. Labour Party, która jeszcze jest członkiem koalicji, nie była w stanie wystawić swego kandydata. Ale uczyniła to inna partia lewicowa, socjalistyczna Common Wealth której kandydatem był 28-letni Wing Commander R.A.F. I mimo puszczenia tym razem w ruch całej maszyny wyborczej Konserwatystów, mimo osobistego poparcia Churchilla, ponieśli oni sromotną klęskę. Wyborcy w Chelmsford, ci na frontach i ci w swoich home'ach, nie są neutralni ani obojętni co do tego, co się dziać będzie w Anglii, gdy wojna się nareszcie kończy.

Pisząc ten artykuł, radzę sobie sam być bardzo ostrożnym w ocenie nastrojów politycznych w Anglii. Skromność w tym wypadku — jak w wielu innych — jest drogą do poznania. Ale wydaje mi się, że nawet cudzoziemiec może zaryzykować pewną analizę nastrojów społecznych i politycznych Anglików. Trzeba nasamprzód ustalić dwie warstwy wśród nich. Jedną jest ta część społeczeństwa, która wyniosła podczas tej wojny cały ciężar bezpośrednich klęsk i zwycięstw na lądzie, morzu i w powietrzu. Jest to pokolenie między 21-ym i 31-ym rokiem życia, które dotąd nigdy jeszcze nie głosowało do parlamentu. Bo funkcjonujący House of Commons, ze swoją przeważającą większością konserwatywną, został wybrany jeszcze w 1935 roku. Wojna, która dla Anglii przybrała takie groźne rozmiary właśnie w 1940 roku, nie pozwoiliła wówczas na normalne wybory parlamentarne. W ten sposób 7 milionów uprawnionych ku temu obywateli brytyjskich nie miało dotąd okazji i możliwości, by wypowiedzieć się na tematy

polityczno-społeczne. Wszystkie oznaki wskazują na to, że to nowe pokolenie, które niedługo zabierze głos podczas wyborów, w swej dużej większości stanowczo nie będzie chciało mieć w Anglii bezrobocia, slums'ów i niepewności gospodarczej. Torysi, którzy po pierwszej wojnie światowej przyrzekli Homes for the Heroes, tym razem spotkają się ze sceptycyzmem wśród młodego pokolenia.

Ale i ludzie, których młodość przemija, ludzie starsi, przeżyli wielkie rozczarowanie pod rządami konserwatywnymi. Parlament wybrany w 1935 roku uzyskał swą większość prawicową posiłkując się hasłem, niezmiernie wówczas popularnym w Anglii. Chodziło o oparcie całej polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii na idei Ligi Narodów i na jej międzynarodowej organizacji. Ale zwycięzcy konserwatyści nie mieli zamiaru trzymać się swych wyborczych przyrzeczeń. Poszli świadomie na zastąpienie Ligi i idei bezpieczeństwa zbiorowego umowami bilateralnymi z każdym, kto tylko chciał. We wrześniu 1939 roku ich polityka leżała w gruzach, a w rolę później nieomal sama Anglia.

W tym kraju koalicja rządowa jest wyjątkiem, odpowiada tylko wyjątkowej sytuacji. Ludzie uważają, że podczas koalicji zaciera się granica odpowiedzialności politycznej poszczególnych jej uczestników i że publiczna estrada walk i kompromisów, jakim jest parlament, zostaje zastąpiona wygodną izolacją gabinetów ministerialnych. A ludzie tu chcą wiedzieć możliwie dokładnie co robią ci, którym powierzono władzę rządzenia. I chcą, by jak najczęściej i publicznie obserwowano każdy ich krok polityczny. Ale ku temu musi istnieć poważna opozycja. W żadnym zdaje się kraju cywilizowanym opozycja nie jest tak uznawana i szanowana jako konieczny czynnik życia społecznego, jak w Anglii. Ale koalicja, jak ta, która obecnie istnieje, usuwa z widowni społecznej czynnik opozycyjny, znak widomy każdej demokracji. Tego nie chcą, tego się boją Anglicy. Mimo wszystko, co

rząd koalicyjny zrobił. Piszący te słowa czuje awersję marksistowską do wszelkich sloganów o jedności narodowej. Muszę jednak przyznać, że była ona koniecznością bezwzględną w okresie Dunkierki. Bez niej nie dokonałaby się ta imponująca mobilizacja wszystkich zasobów ludzkich i materialnych, która uratowała Anglię. Totalność tej wojny, narzucona przez wroga, zmusiła i tych, którzy by tego nigdy nie uczynili w okresie spokoju, do oparcia się na całej jej ludności. A w Anglii oznacza to w pierwszym rzędzie ludność ośrodków robotniczych. Za wojnę tym razem płacą wszyscy — i to w proporcji postępowej do ich dochodów. Obalono klasyczną teorię budżetowania (1/3 z podatków bezpośrednich a reszta — z pośrednich). Wojenne budżety angielskie wykazują podział równy dochodów skarbu. W kraju klasycznego liberalizmu w zapomnienie poszły teorie *laissez-faire'u*, a na ich miejsce przyszła gospodarka kontrolowana i planowana. Anglia uzyskała najbardziej sprawiedliwy podział produktów żywnościowych dla jej ludności, wprowadzając racjonowanie (jak wykazał niedawno Sir John Orr, najwybitniejszy specjalista w tej dziedzinie, dzieci angielskie nigdy nie były wskutek tego w tak dobrym stanie zdrowotnym, jak podczas tej wojny...). *Public - School - Boys* znacznie mniej się teraz liczą tak w wojsku, jak i w życiu cywilnym. A co najważniejsze — zagadnienia pełnego zatrudnienia po wojnie, bezpieczeństwa na starość, domów i szkół stały się naczelnymi, uznanymi obowiązkami k a ż d e g o rządu, jakiby nie przyszedł po rządzie obecnym.

Zwycięstwo militarne usuwa podstawę dla kompromisu społecznego. Przymusowa sytuacja dla obydwu stron dramatu społecznego przestaje istnieć. Zanikają hamulce psychiczne, które robotnikowi nie pozwalają strejkować a *businessmenom* rozporządzać się dowolnie majątkiem. Koalicja jest stanem niaturalnym w społeczeństwach demokratycznych, gdzie rządy mają

być wykonawcami określonych programów gospodarczych, politycznych, społecznych. W przeciwnym razie grozi im przemiana w klikę menagerów.

Zawieszenie broni — wewnętrzne — zostało już wymówione wiele miesięcy temu przez Labour Party, bez której koalicja nie ma żadnego faktycznego znaczenia. W Anglii, jak i wszędzie, próby zastąpienia prawdziwych partii jakimi były „*Paradebauern*” skończyły się tak widocznymi klęskami (National Labour Party R. McDonalda, National Liberal Party), że nikt nie kwapi się skończyć się politycznie, a nawet osobiście właśnie w ten sposób.

12 kwietnia r.b. Gallup Poll ogłosił wyniki swej ankiety wśród obywateli angielskich na temat przyszłego rządu. Tylko 16 proc. zapytanych wypowiedziało się za utrzymaniem koalicji po wojnie. Niechęć to trwałej koalicji rządowej nie ulega najmniejszej wątpliwości.

O CO POTOCZY SIĘ WALKA?

Wydaje mi się bardziej słusznym, gdy się pisze dla polskiego czytelnika, zacząć od tego, o co się *nie* będzie walka toczyła. Będzie nią polityka z a g r a n i c z n a Wielkiej Brytanii. Dwa fakty zewnętrzne przemawiają za tym. Pierwszy to udział Leadera Partii Pracy, Vice-Premiera Attlee w delegacji angielskiej do San Francisko. Attlee, ku wielkiemu niezadowoleniu wielu socjalistów, zgodził się należeć do delegacji, której oficjalnym kierownikiem został wyznaczony Anthony Eden, najbardziej wybitny przywódca konserwatywny po Churchill. Przyjmując w takim charakterze udział w delegacji, Attlee zamaniłfestował solidarność Partii Pracy z oficjalną linią brytyjskiej polityki zagranicznej. Zresztą on sam i, jeszcze bardziej może dobitnie, Ernest Bevin uczynili to w swoich wystąpieniach publicznych i właśnie w związku ze spodziewanym rozwiązaniem rządu koalicyjnego. W przemówieniu tego ostatniego, bardzo ostrego co do treści i formy w stosunku do konserwatywnej większości rządowej, znalazł się

cały ustęp, podkreślony szczególnie przez sprawozdawcę „Times’a”, w którym Bevin wyraził swe głębokie przekonanie, że walki wewnętrzne w społeczeństwie angielskim nie powinny dotknąć jednolitej jego postawy i wspólnej solidarnej odpowiedzialności w stosunku do założeń brytyjskiej polityki zagranicznej. Nie wydaje mi się słusznym ironiczna w tym miejscu czyjaś uwaga, że „Anglicy są zawsze tacy” i t.d. Labour Party przeżywa wielki kryzys właśnie na płaszczyźnie swej polityki zagranicznej. W okresie między wojnami miała ona swą odrębną, bardzo wyraźnie się różniącą od konserwatystów linię w polityce zagranicznej. Była za popieraniem rządów demokratycznych, gdy konserwatyści formalnie, „nie interweniowali” a faktycznie popierali rządy reakcyjne. Partia Pracy była za polepszeniem stosunków ze Związkiem Radzieckim, gdy Chamberlain chętnie jeździł do Berchtesgaden a nigdy do Moskwy. Ale najważniejsze—Labour Party była całkowicie w obozie tych, którzy chcieli demokratyzować życie międzynarodowe, którzy chcieli ustrzec się wojny przy pomocy bezpieczeństwa zbiorowego, gdy konserwatyści w rzeczywistości prowadzili tradycyjną politykę *balance of power* i umów bilateralnych. Ale Anglicy, wszystkich odcieni, są politykami praktycznymi. Cięży na nich fakt, że Anglia nie może obecnie prowadzić własnej polityki zagranicznej bez poparcia jeszcze jednego, co najmniej wielkiego mocarstwa. Mogą nim być Stany Zjednoczone. Mogłaby też być nim Rosja Sowiecka. Ale żadne z tych państw obecnie nie podtrzymuje więcej hasła bezpieczeństwa zbiorowego w praktyce. Każde z nich szuka zabezpieczenia swego bezpieczeństwa na własny sposób. Odejście Rosji od hasła, które przed wojną tak umiejętnie umiała bronić i propagować, miało szczególnie dewastujący wpływ na postawę angielskiej Partii Pracy. Znajduje się ona teraz w stadium bardzo bolesnego poszukiwania i wypracowania własnej linii w polityce za-

granicznej. Tym się tłumaczy jej bierność w wielu sprawach z tej dziedziny. I dlatego te zagadnienia nie będą stanowiły linii podziału podczas najbliższych wyborów do Parlamentu angielskiego.

Ale kraj ten przeżył istny przewrót wewnętrzny podczas wojny. Kilka cyfr przemówi w tym wypadku najlepiej. Mimo zmobilizowania 5 milionów do armii, ilość zatrudnionych w gospodarstwie angielskim podniosła się podczas wojny na całe 30 proc. (z 17.800.000 w 1938 r. na 22 mil. w 1944). Dochód narodowy wskutek tego wynosił w roku 1944 równe 180, jeśli przyjąć za 100 dochód ostatniego przedwojennego roku. Gdy w roku 1938 podatki wynosiły 20 proc. dochodu narodowego, to teraz wynoszą 59 proc. Anglia zużytkowała niemal wszystkie swe kapitały, które posiadała za granicą w formie udzielonych pożyczek £3.846.000.000) i z kraju-kredytora stała się krajem - dłużnikiem (Lend-Lease). Jak z tych kilku cyfr widać, przed Anglią powojenną stoją wielkie i ciężkie zadania utrzymania swego poziomu życia, zabezpieczenia pracy dla swych obywateli, dania im tego, co w skrócie nazywamy bezpieczeństwem społecznym.

Ale tu właśnie przebiega ostra linia podziału społecznego i politycznego. Jak to uczynić? Jakbym nie chciał być obiektywnym, nie widzę żadnego wyjścia z jej obecnego stanu zubożenia, jak pójście na drogę śmiałych i wielkich reform tak w jej życiu gospodarczym, jak i społecznym. Dopiero dziś konserwatywny „Times” pisząc o Europie, podkreślił, że nie ma dla niej powrotu do liberalnego kapitalizmu. Ale tak samo nie ma tego powrotu dla Anglii. Jej najżywotniejszy przemysł podstawowy, węgiel, znajduje się w takim stanie, że w obawie przed katastrofą dla całej gospodarki angielskiej, elementy nie mające nic wspólnego z socjalistami wypowiadają się za odebraniem go z rąk jego prywatnych właścicieli. Problem mieszkaniowy wysuwa się na czoło wewnętrznych zagadnień angielskich. Obliczono, że należy

natychmiast po wojnie wybudować od 3 do 4 milionów nowych domów.

W styczniu r. b. „Economist” umieścił na pierwszej stronie artykuł pod dramatycznym nagłówkiem: „Export or die”. Ale nikt nie może sobie wyobrazić, by te wielkie zadania mogły zostać wykonane przez prywatny kapitał. Oczywiście, kapitałiści dzisiejsi to nie ambitni przedsiębiorcy z XIX wieku, którzy by się powstydzili subsydii państwowych. Ale nie byłoby dziś łatwą rzeczą przekonać społeczeństwo angielskie, że powinno im dać swoje pieniądze nie nabywając jednocześnie praw wpływu na sposób użycia tych pieniędzy.

Naczelnym zagadnieniem zasadniczym powojennej Anglii będzie kwestia kontroli jej życia gospodarczego. O to już się toczy walka, i to zażarta, w społeczeństwie tutejszym. Przy tym trzeba podkreślić ten fenomen życia angielskiego, że żadne ze stronnictw nie dochodzi do skrajności, które tak często się spotyka na kontynencie, tak w jednym jak i w drugim kierunku. Konserwatyści są zasadniczo przeciwko kontroli. Są za wolną inicjatywą (co wcale nie wyklucza kontroli i planowania w pewnych dziedzinach). Ale Churchill kilkakrotnie oświadczył, że, oczywiście, na jakiś czas pewne dziedziny będą musiały być pod kontrolą państwową. Labour Party jest za kontrolą i planowaniem. Ona zresztą, jak dotąd, jedyna z głównych partii, ogłosiła już swój program przyszłego rządu, gdyby uzyskała większość w Parlamencie. Wypowiada się ten program za upaństwowieniem transportu, górnictwa węglowego, przemysłu stalowego, gazu, elektryczności oraz Bank of England. Natomiast wszelkie inne gałęzie życia gospodarczego mają zostać w rękach prywatnych z tym jednak, że ważne z punktu widzenia życia społecznego mają podlegać kontroli społecznej. Jako naczelne zadanie polityki społecznej Partia Pracy wysuwa sprawę pełnego zatrudnienia.

Nikt nie lubi biurokracji, nawet niektórzy biurokraci sami... Ludzie

wszędzie chcą, by państwo (w Europie zachodniej „państwo” pisze się przez małą literę) jak najmniej wścibiało się w ich prywatne życie. Policjanta chce się widzieć tylko jako regulatora ruchu ulicznego. Robotnicy angielscy mają co najmniej niemniejsze przywiązanie do wolności osobistej, jak ich ruling classes. I na tym sentymencie próbują grać konserwatyści. I na jeszcze jednym, tak bardzo odpowiadającym ludziom, którzy mają swą młodość za sobą: „The old good England”. Nie trzeba takich argumentów lekceważyć. Takie sentymenty, czasami szczerze, a czasami obłudne, grają w ręce niejednej reakcji na kontynencie europejskim...

Oczywiście, będą jeszcze inne argumenty też. Nie jest prawdą, że demokracja nie pozwala wybitnym osobistościom zająć należnego im miejsca w życiu politycznym. Teraz mało będzie takich odważnych, którzy by powtarzali baśnie, codziennie nam podawane do czytania w większości naszych przedwojennych gazet, o wielkości Il Duce lub Fuehrera. Demokracje właśnie podczas tej wojny miały na swym czele ludzi tej miary co Roosevelt lub Churchill. Ordynacja wyborcza w Anglii daje obywatelowi możliwość wyboru nie tylko między programami politycznymi ale też między osobistościami. Konserwatyści z całą świadomością, swoją słabą pozycję ideową chcą ratować przy pomocy masywnej postaci Premiera. Pod tym hasłem przeszedł ostatni kongres konserwatystów. Trzeba przyznać, że Labour Party nie ma na czele ludzi o takiej indywidualności. Nie jest nim na pewno oficjalny leader Partii, major Clements Attlee*. Najwybitniejsi dwaj ludzie wśród socjalistów, Ernest Bevin, bezsprzeczny przewodca Trade-Unionów, liczących w tej chwili ponad osiem milionów członków i Herbert Morrison, ich najlepszy polityczny organizator,

* W kołach Labour Party przeważa przekonanie, że w najbliższym czasie nastąpi zmiana w stanowisku Leadera. Kandydatami na to stanowisko są: Ernest Bevin i Herbert Morrison.

neutralizują się w sposób klasyczny...

Ale Partia Pracy nie boi się wyborców. Jej rola w mobilizacji sił ludzkich Wielkiej Brytanii, przeprowadzona przez Ernesta Bevina, jej powszechnie uznany udział w tworzeniu morale, o które rozbiły się wszelkie plany inwazyjne i „Blitz'e”, zdolności, wykazane przez jej przedstawicieli w organizowaniu oporu i rządzeniu krajem, zadały cios niebezpiecznej dla niej tradycji, że tylko ludzie z public schools nadają się na ministrów. To właśnie Labour Party pierwsza, jeszcze w grudniu 1944 roku na swoim kongresie partyjnym, wypowiedziała polityczne zawieszenie broni na froncie wewnętrznym. Kongres niemal jednomyślnie zatwierdził wtedy uchwałę egzekutywy Partii z października tegoż roku, zapowiadającą zerwanie koalicji rządowej, gdy tylko przebieg wojny w Europie na to zezwoli. I od tej chwili zaczęła się faktyczna kampania wyborcza. W kilka tygodni później Churchill, jako przewodca konserwatystów (co za szansę ten człowiek traci!) widział się zmuszonym, bez widocznego entuzjazmu, podnieść rzuconą rękawicę.

Formalnie będzie to walką trzech partii. Konserwatyści wystawiają swych kandydatów w około 600 okręgach wyborczych (25 okręgów zostało podzielonych z powodu przyrostu ludności i przyszły House of Commons zamiast obecnych 615 posłów będzie ich liczył 640). Labour Party idzie do walki w 580 okręgach a Liberali podobno w 400. Ale faktyczna walka o władzę toczyć się będzie między konserwatystami i socjalistami. Liberali nie wydają się być więcej w stanie powstać z klęski, którą im po tamtej wojnie zgotował ich wielki „czarodziej z Walii”, David Lloyd George. Każda z partii musi bardzo się liczyć z nastrojami młodych wyborców, którzy głosują w tak dużej masie po raz pierwszy i którzy mogą — jak to się stało kilka dni temu w Chelmsford — obalić najbardziej pewne obliczenia. Kandydatami są w dużej mierze ludzie bardzo młodzi, między 25-ym i 35-

ym rokiem życia. W olbrzymiej większości są to wojskowi, szeregowcy, podoficerowie i oficerowie obydwu płci. Oczywiście, że najwięcej oficerów kandyduje na liście konserwatywnej. Ale i Partia Pracy wśród swoich stu wojskowych kandydatów ma wielu oficerów do brygadiera włącznie. Na listach liberalnych kandyduje 11 wyższych oficerów sztabu marszałka Montgomery'ego (który podobno po wojnie ma zamiar poświęcić się karierze parlamentarnej i to nie na ławach Torysów). Wśród kandydatów komunistycznych zauważyłem nazwisko majora 8-ej Armii, odznaczonego za kampanię afrykańską. Komuniści, którzy prowadzą od długiego czasu akcję propagandową za „jednolitym frontem demokratycznym” wszystkich partii nie-konserwatywnych, idą do wyborów samodzielnie. Partia Pracy dąży do zwycięstwa własnego, całkowitego. Pół roku temu komuniści ogłosili, że wobec takiego stanowiska Partii Pracy, wystawią swych kandydatów w 52 okręgach. Trzeba pamiętać, że w chwili obecnej C.P. angielską reprezentuje w parlamencie tylko jeden górnik walijski, William Galacher. Mimo, że wpływy komunistyczne w Anglii są większe, niż były w 1935 roku (zwycięstwa Armii Czerwonej!), tak wielka ilość kandydatów komunistycznych przyniosłaby tylko rozbięcie głosów lewicy i powiększenie szans wyborczych konserwatystów. W kwietniu r.b. komuniści oświadczyli, że pójdą do wyborów tylko w 22 okręgach. Znaczący stosunków wśród angielskich robotników obliczają szanse komunistyczne na 3 do 10 mandatów. Kilka tygodni temu „Propagandist”, miesięcznik moskiewski, wydawany dla agitatorów politycznych w Rosji Sowieckiej, zajął się wewnętrzną sytuacją polityczną w Anglii. U konserwatystów znalazł dwa skrzydła: jedno reakcyjne pod kierownictwem Sir Johna Andersona (który formalnie wcale nie należy do partii konserwatywnej) i drugie postępowe (dążące do współpracy z Rosją sowiecką), reprezentowane przez

Foreign Secretary Antoniego Edena. Labour Party została scharakteryzowana na ogół nieprzychylnie; zarzuca się jej brak jasnego programu. Najlepiej wyszli w Moskwie...Liberali. Jedyny zarzut, który ich spotkał, to niedostatecznie wrogi stosunek do Niemców. Natomiast ich program, według tej oceny, nadaje się jako podstawa dla zgrupowania wokół niej angielskich mas pracujących... Przyjaciele moskiewscy angielskich komunistów widocznie niewysoko sobie cenią ich perspektywy podczas najbliższych wyborów.

* * *

Cudzoziemcowi, który przypatruje się z bliska życiu politycznemu demokracji angielskiej, niejednokrotnie wydaje się niedostatecznym zasób wiadomości i głębia zainteresowań w tym kraju z dziedziny polityki zagranicznej. Niekiedy może zapominaamy, że obywatel wielkiej Brytanii jest przecież zarazem członkiem Imperium, które samo dla siebie już jest światem. Ale każdemu musi zaimponować olbrzymi interes i znajomość warunków życia we własnym kraju. Gdy jestem obecny na kongresie Labour Party, to często przypominam sobie świetne przemówienia za-

słyszane na tematy międzynarodowe na kongresach socjalistycznych partii kontynentalnych. Brak tu wielkich prób analizy tendencji rozwojowych, brak, wielkich rzutów perspektywicznych, którymi się mogła poszczycić chociażby t.zw. austro-marksistowska szkoła środkowo-europejskich socjalnych-demokratów. Ale za to Anglicy górują swą rzeczowością, ścisłością w opisywaniu faktów, w których sami biorą udział. W żadnym może kraju frazes demagogiczny nie ma tak zabójczego skutku dla... tego, który go użyje, jak w Anglii.

Zwycięstwo wojenne nie uczyni z Anglików upitych władzą i powodzeniem nacjonalistów. W Anglii istnieje możliwość dokonania „rewolucji w majestacie prawa”, uczynienia życia bezpiecznym, dania ludziom poczucia użyteczności społecznej. W tym kraju kontrola i planowa gospodarka mogą iść w zupełnej zgodzie z wolnością osobistą i polityczną. Ale i w tym klasycznym kraju kompromisów, postęp nie odbywał się bez walki. Na szczęście ci co mieli coś do odstąpienia, jak dotąd robili to zawsze na kilka minut przed dwunastą. Na zegarze społecznym współczesnej, powojennej Anglii wskazówka jest bliska północy.

LIST DO REDAKCJI

Drogi Panie Redaktorze,

Powinam zacząć od przedstawienia się albo od prośby. Na ogół tak robią wszyscy. Ale wydaje mi się, że dosyć trudno jest czuć się przynależnym do masy — wszystkich — człowiekowi, na którym piętno swe wyryła wojna, powstanie, niewola. Dlatego ja zacząć od żalu. Żal mój będzie nosił odcień zazdrości, że „Nową Polskę” mogliście wydawać przez tyle lat, jasno, otwarcie, nie tak jak my z piwnic, mroku i strachu. Jakże innymi ludźmi jesteśmy my z kraju. Jakże głęboko inna jest nasza myśl, poezja i wiara.

Niech Pan spojrzy, drogi Redaktorze, na jeden z moich wierszy:

Oświęcim

Groźna była noc, gdy wicher przeciągał wyjące ramiona
patrzac, jak w miejsce jedno zbiegła Europa.
Szarpały ręce gwiazdy zrozpaczone,
gdy szły krew żłopać —
z młodości, przygniecionej żelazem i męką.

Bite wichrami baraki
jak pręgi na plecach
niosą śmierć.

Żadna młodość jeszcze nigdy tak ciężką nie była
jak ta, kiedy się rozpacz nad ziemią rozdarła
i nieskończonym Szlakiem
jęczała i żarła
życie, które się rodząc od razu konało.

Tak niosąc nad palącym się wokoło światem
Koszmar nędzy straszliwej i pochodnie śmierci
idzie czas —
gdy w daremnej modlitwie Matek
dogasają prochy tysiąca zwłok:

Oświęcim.

* * *

My, tam w Polsce pisaliśmy tak, jakbyśmy byli zawsze pochyleni. To był jakiś lęk ciężki, ciągły lęk.

I dlatego w naszej poezji czy prozie lirycznej były myśli zaczynane, chwytane, ciągle bojące się, że ktoś przerwie dalszy ich bieg. Bo czy na przykład nie sprawia tego wrażenia jeden z liryków prozą:

Przygoda

Drzewo przystanku chwije się wraz ze sparaliżowaną kobietą, której kalectwo jest rodzajem dumy.

W oczach młodego widać rozartą śpiewem wojnę — najcudowniejszą przygodę. (Żołnierze obnoszą ze zdziwieniem zmiętą farbę orłów, śpiewając pieśni długie, długie jak obłok.)

Dziewczyna, czytająca słowa listu, patrzy na brązową biedronkę, która czyni je czymś codziennym, dopiero gdy odejdzie ze stulonym sercem z papieru o zapachu świerków — dziewczyna zobaczy zwykłą śmierć, którą pojęła tylko noc, pod którą umarł.

Potem — po twarzach przejdzie huk żołnierskich butów, poeta, pełen wielkiego świata — umilknie, wiatr zerwie z ust słowa powstańca, z których uwije gniazdo jaskółka — dla okrucich swego dziwnego życia.

Potem przyszło powstanie — haust wolnego, szerokiego powietrza — zgnieciony gruzami.

Potem — niewola.

Teraz — Broń pancerna odbiła nas — wypoczywamy — czekając. —

Piszę:

— „Trawy idą daleko, pod sam las i kolysane wiatrem robią wrażenie, jakby w tym ruchu łagodnym dojsć chciały, nawet tak wolno, do lasu, za las, tam gdzie się kończy niemiecka ziemia. Ale one są wolne — to raczej ja powinnam stąd uciec, choć tak mocno wieje sztandar zatknięty na wieży.

Krzak małej brzozy, który dopiero teraz wpadł mi w oczy odbija od traw przezroczystą zielenią.

Dobrze tu jest.

Odchodzą myśli pochmurne, wygładza się życie, takie dotąd wykrzywione, takie najgorsze.

Biało kwitną trawy niskie, białe jak aksamitna wata.

I chcę, żeby wiatr potargał mnie, żebym leżąc wśród traw była im podobna.

Kiedy przymrużę oczy — trawy idą dalekimi krokami i są jak dym, o który opiera się niebo”.

* * *

Może dlatego, że dziś jest wiatr silniejszy niż zawsze a może dlatego, że patrząc z zazdrością na „Nową Polskę” napisałam ten list — przeczrocze, któremu pan się dziwi.

Zaczęłam od żalu, skończę na przedstawieniu się; Jestem poetką Polski podziemnej z czasopisma „Sztuka i Naród” oraz „Dźwigary”. Napisałam list ten celem nawiązania kontaktu. Jeśli starczy miejsca — może Pan, Redaktorze, zamieści go w „Nowej Polsce” — oczywiście jeśli nasze życie podziemne godne jest waszego.

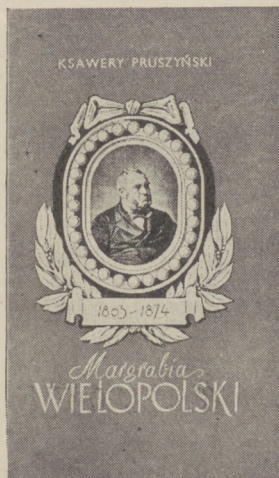
Proszę o odpis.

Łączę mocne pozdrowienia

Józefa Radzymińska.
Stalag VIC_w Oberlangen

SPIS RZECZY

| | Str. |
|--|---------|
| JÓZEF WITTLIN — <i>Pochwała fikcji poetyckiej</i> | 289—292 |
| BOLESŁAW BRZOZOWSKI — <i>Próby organizacji pokoju</i> | 292—297 |
| MAREK CELT — <i>Koncert</i> | 298—311 |
| BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI — <i>Legenda Ferrea</i> | 312—313 |
| BOGUSŁAW KUCZYŃSKI — <i>Notatki rzymskie</i> | 313—321 |
| DOROTA FAŁSKA — <i>Refreny historii II</i> | 322—327 |
| STEFAN ŁĘCZYC — <i>Maska i krew</i> | 328—334 |
| STANISŁAW ILEWICZ — <i>Oranienburg — Alderney — Kortenmark</i> | 334—338 |
| MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI — <i>Historia jednego aeroklubu</i> | 338—343 |
| LUCJAN BLIT — <i>Kończący się pokój</i> | 343—349 |
| JÓZEFA RADZYMIŃSKA — <i>List do Redakcji</i> | 349—351 |



Cena 4/0

WKRÓTCE UKAŻE SIĘ
KIESZONKOWE WYDANIE W PŁÓTNIE

PISOWNI POLSKIEJ

WEDŁUG AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI

NA WYCZERPANIU

OBIE KSIĄŻKI

ZARÓWNO NA SKŁADZIE GŁÓWNYM
JAK I W KSIĘGARNIACH POLSKICH



.... A TYMCZASEM
**ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU
 PRZY DŹWIĘKACH PIYT DECCA**

Własna piwnica wyborowych win

OBIADY i  KOLACJE

**Le Coq d'or
 Restaurant**

POD KIEROWNICTWEM OSOBISTYM
 G. HENRI SARTORI

Stratton St., Piccadilly, W. I
 Tel.: MAYfair 7807-9

JEST NA SKŁADZIE
 od 1 lipca

"ZA WASZĄ
 NASZĄ WOLNOŚĆ"

**POLSKA
 MYŚL**
Demokratyczna
 W
 CIĄGU WIEKÓW

Opracowali
 KRIDL - WITTLIN
 MALINOWSKI

Cena £ I. I. O.

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń,
 Advertising Offices, The Carlton Berry
 Co., Grand Buildings, Trafalgar Square,
 London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

POD NOWYM ZARZĄDEM!

RESTAURACJA
 FRANCUSKA

LACOUILLE

79, ST. MARTINS LANE.
 LONDON W. C.

TEL.: TEMple 8768

W niedziele zamknięta

Telephon:  GER. 6847

**HONG KONG
 CHIŃSKA RESTAURACJA**

58-60, Shaftesbury Avenue
 London, W. I.

otwarta do godz. 10 w nocy.

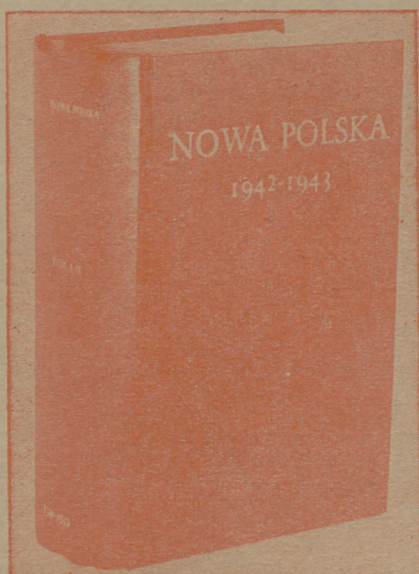
**ESPLANADE
 HOTEL RESTAURACJA**

2, WARRINGTON CRESCENT
 LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
 telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
 kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej
 Warwick Ave. na białej linii.



CZY MASZ JUŻ
TEN ROCZNIK
W BIBLIOTECE ?

„NOWA POLSKA“

DOCIERA DO KAŻDEGO
DOMU I OŚRODKA INTE-
LIGENCJI POLSKIEJ

NA
CAŁYM
ŚWIECIE

PROSIMY WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW LITERATURY POLSKIEJ O STAŁY KONTAKT
Z NAMI, I PROPAGOWANIE „NOWEJ POLSKI“ WŚRÓD
INTELIGENCJI EMIGRACYJNEJ

TUTAJ ODCIĄĆ!

SENDER :

.....
.....
.....

No Postage Stamp
necessary if mailed
in Field Post Office
2nd Polish Corps
and 1st Polish Arm.
Division or R.A.F.
Field Stations in
Europe

Business Office

„NOWA POLSKA“

POLISH LITERARY MONTHLY

91 Great Titchfield Street

LONDON, W 1

Zalecona w wojsku rozkazem Pana Ministra Obrony Narodowej
L. dz. 1541-Pr. III-A-42
i Dcy I Korp. Panc. Mot.
L. dz. 2190/2503/Pr-42



Zalecona w wojsku rozkazem Pana Ministra Obrony Narodowej
L. dz. 1541-Pr. III-A-42
i Dcy I Korp. Panc. Mot.
L. dz. 2190/2503/Pr-42

NOWA POLSKA jest największym i najpoważniejszym dziś periodykiem w języku polskim.

NOWA POLSKA służy polskiej myśli demokratycznej i postępowej, reprezentuje kulturę polską i dociera do wszystkich środowisk inteligencji emigracyjnej na całym świecie.

NOWA POLSKA pozyskała najwybitniejszych pisarzy, publicystów i poetów emigracji. W Nowej Polsce ogłosili utwory następujący autorzy:

Andrzejewski, Baliński, Bartosik, Bloch, Bramson, Broniewski, Cękalski, Ciołkosz, Czarnomski, Czuchnowski, Danilewiczowa, Domański, Dziewanowski, Estreicher, Eydziatowicz, Falska, Fiedler, Gazda, Górka, Gotlib, Gross, Grosfeld, Grubiński, Haupt, Hemar, por. Herbert, Horzelski, Hertz, Hładki, Janta, Karpiński, Kittay, Kneblewski, Konarska, Korian, Kossowski, Kot St., Kriedl, Krzywan, Kuczyński, Kuncewiczowa M., Kuncewicz J., Lisiewicz, Łagniewski, Łęczyc, Łobodowski, Małczewski, Małessa, Malinowski, Markowski, Machalski, Mrozowicki, Muczkowski, Naglerowa, Nagórski, Olcha, Ordęga, Pawlikowska, Parnicki, Piotrowski M., Polczyński T. J., Potworowski, Pomian, -Pragier, Piskor, Pruszyński, M. Pruszyński, Poznański, Piątkowski, Raczyński E., Slonimski, Sokolow, Stankiewicz, Stańczyk, Strzałkowski, Stawiński, Stempowski, Strasburger, Szerer, Szczepański, Szczerbiec, Szczyt-Lednicka, Sołski, Ferlecki, Themerson, Topolski, Tuwim, Tuwimówna, Wali-górski, Wilk, Winiewski, Winiewicz, Wilga, Wittlin, Wójcicki, Zahorska, Zaslawski, Zamoyski, Zubrzycki, Zweig, Zuławski, Żyw.

Nowej Polski zeszyty miesięczne stanowią objętość większą książki, a są jednak w przystępnej cenie s. 3t-. Abonament roczny z przesyłką:

| | za 1 rok: | za 2 lata: |
|---|-----------|------------|
| w W. Brytanii i Dominach w Europie i Ameryce | £1 16 0 | £3 0 0 |
| Roczniki Oprawne za 1942... .. | £1 6 0 | |
| " " " 1943... .. | £1 15 0 | |
| " " " 1944... .. | £2 0 0 | |
| Prenumerata wieczysta | | £25 0 0 |

Adres: 91, Great Titchfield St., London, W.1.
TEL. MUS. 1409.

Zagraniczni abonenci proszeni są o nadsyłanie opłaty z góry w postaci Imperial Posta Ordera — lub czeków, wojskowi za pośrednictwem „POCZTY POŁOWEJ”.

TUTAJ ODCIĄĆ!

.....1945 r.

Do Administracji
Miesięcznika Literacko-Politycznego

„NOWA POLSKA“

w LONDYNIE

Proszę o wpisanie mnie w poczet stałych prenumeratorów „Nowej Polski” i zważywszy, że mam zamiar kompletowania całości utworów literackich, proszę o rezerwowanie dla mnie rok rocznie wszystkich skorowidzów opracowywanych przez W.P. do tomów oprawnych.

Jednocześnie przesyłam prenumeratę w postaci

.....
(zbędne prosimy przekreślić)

Prenumerata
roczna:
£1.16.0

Prenumerata
2-letnia:
£3.0.0

Prenumerata wieczysta:
£25.0.0

Adres na odwrocie.

.....
podpis.

3/-



Published by „Nowa Polska”, 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London, factory.

3/-